

# P I O N

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ROK IV \* WARSZAWA \* NIEDZIELA — CENA 50 GR. — 25 PAŹDZIERNIKA 1936 R. \* NUMER 43(160)

TREŚĆ: WACŁAW BOROWY: Żeromski po latach \* JUNIUS: Komentarze \*  
WŁADYSŁAW SEBYŁA: Fragment \* HANNA MORTKOWICZ: Egipskie ziarna \*  
JÓZEF GOLĄBEK: Kultura wsi i miast \* LUMIR: Sprawy słowackie \* STAN-



SLAW CZOSNOWSKI: Powieść \* BOHDAN KORZENIEWSKI: Teatr \* T. UNKIE-  
WICZ: Publicystyka \* Nowe książki \* ST. CZOSNOWSKI: Kronika \* W. BAK:

Przegląd prasy.

WACŁAW  
BOROWY:

## ŻEROMSKI PO LATACH

Po śmierci Żeromskiego w jednym z czasopism literackich czytało się słowa: „Umarł największy bodaj pisarz współczesnej Europy”. Co sądzić po latach o prawdziwości tych słów wzruszonego nekrologisty?

Zależać to będzie, naturalnie, od naszego pojmowania wielkości. A pojmować ją można rozmaicie.

Wielkim w jednym znaczeniu jest pisarz, który wywarł wielki wpływ na rówieśników, albo oddziałal wychowawczo na uczuciowość młodszych pokoleń w swoim narodzie. W tym znaczeniu jest Żeromski na pewno jednym z wielkich, może rzeczywicie największym w świecie naszych czasów. Jeśli jeden z obcych krytyków powiedział o Mickiewiczu, że i najbogatsze literatury nowoczesnego świata nie mogą się porównać do niego, który by tak jak on dopomógł swojemu narodowi nieść krzyż, kiedy krzyż nieść trzeba było, mógłby niewątpliwie coś w znacznej mierze podobnego powiedzieć i o Żeromskim.

I w drugim jeszcze znaczeniu bez długich dyskusyj można słuszność przyznać słowom nadgrobnym z r. 1925: jeśli wielkość weźmiemy w sensie energii wysiłków duchowych pisarza, rozmaitości i trudności zadań, które sobie stawiał, wytrwałości i wysokiego pojęcia o powołaniu pisarskim, *nota bene* w związku z wiadomymi ciężkimi warunkami egzystencji społeczeństwa i swojej własnej. Nieczęsto to wszystko, rzecz oczywiście, w takim połączeniu spotkać można w jakiegokolwiek dziedzinie Europy.

Ale słowa przysądżające Żeromskiemu wielkość mogą mieć znaczenie jeszcze inne: mianowicie znaczenie odpowiedzi na pytanie: jakie jest miejsce jego dzieł w skali

wartości literatury europejskiej? I na to pytanie nie tak już łatwo odpowiedzieć.

Jeśliśmy szukali wskazówki w europejskiej recepcji jego utworów w ciągu pierwszego dziesięciolecia po jego śmierci, to, trzeba przyznać, nie znajdziemy podstaw do wniosków triumfalnych. Utwory te nie wzbudziły wśród obcych szczególnie żywego zainteresowania. Jedyny wyjątek, *Przedwiośnie*, w jednym kraju, Rosji, tłumaczy się pozaliterackim względem na poruszony temat komunizmu. Wszędzie gdzie indziej z trudnością decydowano się na przekłady Żeromskiego, z większą jeszcze na wydania. (Stąd to stawał się nieraz ofiarą rodaków i rodaczek, „świetnie umiejących” po angielsku czy po francusku, niestety, przeceniających swoje talenty literackie). Nie będzie chyba przesadą, jeśli się powie, że znajomość jego pism na Zachodzie nie wyszła daleko poza sferę tych osób, które specjalnie interesują się rzeczami polskimi. Ale i wśród tych najlepiej przygotowanych czytelników, znających nieraz dobrze i nasz język, i naszą tradycję literacką, dzieła jego nieczęsto wywołują wzruszenie. Raz po raz spotykamy się z ich strony z wyznaniem, że proza Żeromskiego na nich nie działa. Nieraz się zdarza, że dodają, że to zapewne jest wynikiem ich odmiennych przyzwyczajęń literackich, południowych albo zachodnich: co, naturalnie, należy traktować tylko jako kurtuazję, bo wartości poetyckie nie znają południa i północy, a najbardziej wschodni pisarze, jak dobrze wiemy, mają entuzjastów na zachodzie. „W tym rozległym dorobku — pisze np. wybitny polonista francuski Henri Grappin — jest całe mnóstwo stroniec zachwycających. Niejedną także myślę o czymś w rodzaju geniuszu.

Ale całość pozostawia... jakieś wrażenie zmieszane, jakiś niepokój. Czujemy siłę, która nie zdołała się w pełni wyrazić i nie znalazła swojej równowagi”. A podobnie brzmią opinie i wielu innych obcych krytyków.

Stanowisko zresztą cudzoziemców znajduje dosyć uzasadnienia i w polskiej literaturze krytycznej. Weźmy książkę Adamczewskiego *Serce nienasycone* (1930), dzieło wielkiego pietyzmu, a zarazem wytrawnego smaku i rozważli. Jakże w nim wystawiona jest twórczość Żeromskiego? Jako coś podobnego do twórców żywiołu, do jakiejś puszcy dziewiczej, prawda, wspaniałej, „królewskiej”, w której jednak — tak doczytujemy myśl krytyka — trzeba sobie samemu dopiero dróg szukać. „Pierwsze, — to własne jego słowa — co tam (t. j. w dziełach Żeromskiego) uderza, to tego talentu jakaś nieujarzmiona żywiołowość, nieskoordynowany zazwyczaj nawal wielorakich zmysłowych podnieć, jakieś zawrotne rzucanie się głową w wir uczuciowych uniesień”. A studium Ireny Jurgielewiczowej *Technika powieści Żeromskiego* (1929), od początku do końca przeniknięte uwielbieniem dla badanego pisarza, czyż nie prowadzi do wniosków podobnych? „Książka Żeromskiego — czytamy tam — robi wrażenie nie rezultatu ścisłego wyboru i doboru kwestyj i tematów, ale wyladowania najrozmaitszych, w duszy autora skłębionych pytań, niepokojów, uczuć i myśli”. I tu więc obraz skłębionego żywiołu. Spotkamy go i w studium Marii Dąbrowskiej („Zagadnienie tragiczności u Żeromskiego”): „dziewicza, pełna zasadzek puszcza”, „przebogata dżungla”, którą trzeba przemierzać „cierpliwie i ofiarnie”. Obraz ten we wszystkich

tych studiach wprowadzony został trybem komentarza estetycznego, mającego wskazać czytelnikom, jaką wobec dzieł pisarza winni zająć postawę. Podobnego jednak porównania, z „dzikiem krajobrazem”, użył i Joseph Conrad, kiedy zniechęcał swoich przyjaciół angielskich do wydawania przekładu *Popiołów* i *Dziejów grzechu* (aczkolwiek i on temu „krajobrazowi” przyznawał „pewną wielkość”).

Prawda, od razu trzeba to zaznaczyć, że prawie wszyscy znający całość twórczości Żeromskiego godzili się w uznaniu dla doskonałości krótkich jego utworów liryczno-opisowych, tych, których najpopularniejszą reprezentantką jest *Puszcza jodłowa*. I to, oczywiście, jest już wystarczający tytuł do wielkości: autorstwo takich utworów, jak *Puszcza jodłowa*, *Wszystko i nic* i inne podobne! Oczywiście zdanie cytowanego już nekrologisty, że Żeromski był „największym lirykiem świata w prozie”, jest w swoim globalnym rywalizacji niemożliwe do sprawdzenia, napewno jednak wśród pisarzy tego rodzaju należy on do najznakomitszych.

Co jednak sądzić o osiągnięciach Żeromskiego w zakresie form literackich bardziej złożonych, które z istoty swojej wprowadzają w grę bardziej złożone wartości, a w których ukształtowała się ogromnie przeważająca część jego pisarskiego dorobku?

Stawiając to pytanie, idziemy za przewodem samego Żeromskiego, który (w odczytaniu zakopiańskim 1915 r. i kilka razy jeszcze przy innych okazjach) podobnie pytał o całą literaturę polską z okresu porzbińcowego: „jakaż tedy jest bezwzględna i istotna wartość literatury polskiej w stosunku do literatury świata?”

Wiadomo, jaka była jego odpowiedź.

## KOMENTARZE

Wraz z pierwszymi płatkami śniegu zstępuje do nas na białym koniu św. Marcin, aby płaszczem swoim okryć drżących z zimna ludzi. Ta piękna legenda mówi o miłości, która płynie z nieba. Mówi też o nędzy, nieodłącznej towarzysze życia na ziemi.

Podziwu i uznania godne są wysiłki tych, którzy z nadejściem zimy pragną jak najwięcej ubogich i wydziedziczonych okryć płaszczem świętego Marcina. Ale wielkość ich wysiłku mierzy się, niestety, rozmiarami nędzy, której pragną ulżyć. Pałca potrzeba organizowania na wielką skalę pomocy zimowej pod hasłem „głodnego nakarmić, nagiego przyodziać” wypukła — nie tylko u nas — bezsilność społeczeństw wobec klęski bezrobocia, które zmniejsza się lub powiększa, ale zawsze towarzyszy zwycięskiemu pochodowi postępu technicznego.

Mimo to i naprzekór tym, co dowodzą, że tak być musi — trzeba twierdzić i trzeba wierzyć, że musi być inaczej. Istnieją na świecie zbyt wielkie nierówności. Wskazują one, że duża część złego pochodzi z wadliwego podziału dochodu społecznego, a przede wszystkim z niesprawiedliwego podzia-

łu pracy. Gloryfikacja wysiłku jednostki — nie może nikomu zamykać oczu na to, że praca jest prawem każdego, kto chce żyć, a żyć pragną wszyscy. Jest rzeczą charakterystyczną, że katowicki kongres górników, wysuwając postulat sześciogodzinnego dnia roboczego, nie uzasadniał tych żądań argumentem przeciążenia górników pracą. Idzie o coś innego: o zatrudnienie jak największej ilości ludzi. Przeciwno zmniejszeniu godzin pracy wysuwa się argument opłacalności produkcji. Opór ze strony przedsiębiorców jest silny. Mogliśmy przekonać się o tym nie tylko z polemik w prasie polskiej, ale i ze sprawozdań z obrad, jakie odbyły się niedawno w łonie Międzynarodowego Biura Pracy w Genewie.

Teoria rentowności leży u podstaw organizacji gospodarczej społeczeństw kapitalistycznych. Żadna jednak, choćby najlogiczniej zbudowana teoria nie zdoła usunąć w cień prawdy, o której zapominać byłoby szaleństwem — tej mianowicie, że ostatecznym podmiotem wszelkiej działalności gospodarczej jest człowiek. To jest prawda pierwsza.

Druga prawda, wynikająca z doświadczenia, uczy, iż zrealizowanie sprawiedliwego podziału pracy jest niezwykle trudne wówczas, gdy wszyscy nie czynią tego równocześnie. Dlatego

też warunkiem postępu w tej dziedzinie jest pokój i porozumienie pomiędzy narodami. Stąd wniosek, że wrogiem ludzi pracy jest ten, kto pokój chce zamącić, kto sieje burzę. Dziwnym zrządzeniem losu, źródłem niepokoju jest w tej chwili kraj, który nazywa się robotniczym, choć pracę zrównał z niewolnictwem.

Jakkolwiek się dzieje, sprawa jest z rzędu tych, które na rozwiązanie nie mogą czekać długo. Zdolność zaradzenia klęsce bezrobocia przez reorganizację podziału pracy stanowić będzie o tym, czy cywilizacja nasza potrafi dać milionom nie tylko chleb ale i możliwość życia w zgodzie z godnością człowieka i w zgodzie ze społeczeństwem. Czy też — *tertium non datur* — zginie. I to jest prawda trzecia.

\*

W którymś tygodniku widziałem rysunek, przedstawiający dwóch centaurów w trakcie sprzeczki. „Jeśli podniesiesz na mnie rękę — mówił jeden z nich — zwrócę się po sprawiedliwość do ludzi”. — „A jeżeli cię kopnę?” — „Poskarżę się towarzystwu opieki nad zwierzętami”.

To *aut-aut* przypomina łądząco grę francuskich komunistów, którzy w walce z „hydrą faszyzmu międzynarodowe-

go” odwołują się do patriotyzmu narodu francuskiego, podczas gdy patriotyzm zwalczają hasłami... międzynarodówki.

P. Blum wygrał pierwszą partię. Obronił zasadę nieinterwencji, potrafił dewaluacji nadać piękną postać międzynarodowego porozumienia, rozpoznał widmo stukilkudziesięciu wieców komunistycznych w Alzacji, upiekłszy przy tym samym ogniu inny smaczny kęs w postaci chwilowego unieszkodliwienia wolontariuszów płk. de la Rocque.

Ale rober nie jest jeszcze skończony. Po rozdaniu kart wiele atutów dostało się tym razem radykałom, których „odzywki” stają się co raz bardziej znaczące. Partia radykalna zdaje się powracać do swej zwykłej roli, polegającej na niestannym tworzeniu i rozbijaniu co raz to innych kombinacji politycznych od „jedności narodowej” poprzez „koncentrację republikańską” i „kartel lewicy” aż do „frontu ludowego” włącznie. Któż nie pamięta słynnego *Le communisme voilà l'ennemi* p. Sarraut i... entuzjastycznych reportaży z podróży do Rosji Sowieckiej w *Marianne*, pióra p. Herriot, dzisiejszego, jak słychać, szefa antykomunistycznego skrzydła radykałów i jednego z głównych sprawców częściowego skomunizowania opinii francuskiej?

K 1669/86/37

UNICO  
Lublin



Nasza literatura — mówił — nawet w najznakomitszych swoich przejawach jest obojętna dla obcych czytelników, bo dominuje w niej troska o byt polityczny, bo cała jest „przepełniona uczuciem patriotyzmu, nabrzmiała i przeladowana kwestiami natury społecznej”. A swojej własnej twórczości nie wylączył z tego surowego osądu: zaznaczył to w odczycie 1915 r. wyraźną aluzją do *Ludzi bezdomnych*, a później (w *Początku świata pracy*) powiedział przecie ze szczytną skromnością, że przez propagandę różnych hasel narodowych i społecznych „psul do gruntu jaką-taką wartość artystyczną swych pisanin”.

Sprawa ta wymaga prześwietlenia, tym więcej, że stopień słuszności zdania Żeromskiego co do przestrzeni musi znaleźć potwierdzenie i w czasie. Bo jeśli pewne właściwości pewnych utworów literackich niedostępne są dla cudzoziemcom, to te same właściwości po pewnym czasie będą je czynić obcymi we własnym kraju, kiedy przemienią warunki, które owe właściwości wywołały. Sam Żeromski tak te rzeczy rozumiał i dał temu wyraz już w r. 1907 przez usta Ryzia w obrazku *Z odczytem*, a jeszcze dobitniej w r. 1925 w odpowiedzi na ankietę o Teatrze Narodowym, kiedy to wyraził wielkie wątpliwości co do tego, czy nowoczesnych widzów polskich mogą pociągnąć do teatru nawet „genialni poeci” z „okresu niewoli”. Bezwzględnie mówił o nich, że „jest to uczuciowa przeszłość, duchowy czas miniony”. Lata późniejsze nie potwierdziły tych przewidywań w odniesieniu do wszystkich dzieł tych poetów, które Żeromski wymienił. Tym bardziej trzeba zmierzyć słuszność jego sądu w odniesieniu do jego dzieł własnych.

Istotnie, to prawda, że, kiedy dziś odczytujemy książki Żeromskiego, znajdujemy w nich sporo ustępów, które odczuwamy jako balast. Rozmowy o tym, co powinna zawierać gazeta w Łżawcu, obchodzą nas tylko jako zażytek historyczny. Satyra na zamiatanie Krakowa w *Nawracaniu Judasza* jest dla nas obojętna. Tak samo gdzie indziej w tej powieści uwagi o kooperatywach, albo dyskusje o opiece nad emigrantami polskimi w Paryżu. Nic nas nie obchodzi wybieżka satyryczna w II tomie *Dziejów grzechu* przeciwko kołu polskiemu w parlamencie wiedeńskim; bardzo mało — opis organizacji sanatorium dr. Mazurka w tejże powieści; podobnie — perory Gajowca w *Przedwiośni* o potrzebie stabilizacji waluty. Są zresztą i wśród tych wstawek dydaktycznych rzeczy, jak np. wykłady Judydy o okropnych warunkach, w jakich żyje uboga ludność Warszawy, które nie straciły, niestety, aktualności; nawet jednak i one nie wpływają dodatnio na nasze wrażenie artystyczne, gdyż są wstawione do powieści mechanicznie.

W przededniu otwarcia parlamentu coś się zmienia. Coś, czy raczej — nic? Możliwości kombinacji parlamentarnej są liczne, ale ilość ich nie jest nieograniczona. Nie jest również nieograniczona liczba osobników politycznych, które mogą odegrać rolę w takim czy innym układzie stosunków. Podczas gdy w innych krajach wschodzą nowe słońca, na politycznym niebie Francji migają wciąż te same gwiazdy. W tym — mówią niektórzy — tkwi tajemnica trwania Trzeciej Republiki. W tym również — zapewniają inni — leży przyczyna, że jej uroda zaczyna przekwitać.

\*

A tymczasem na północnej rubieży Francji młody król i młody premier prowadzą „młodą” politykę. Wyprowadziwszy kraj szczęśliwie z kłopotów finansowych, rząd p. van Zeelanda tworzy nową rację stanu. „Polityka belgijska” — tak nazywa się neutralność, do której coraz wyraźniej zmierzają Belgowie, budując... fortyfikacje na granicy francuskiej. Rozważanie kierunku nowej polityki belgijskiej prowadzi do wniosku, iż przetrwanie się do ścisłego sojuszu z Francją do neutralności oznacza zwrot ku sąsiadce z przeciwnego brzegu kanału La Manche. Oznacza wiarę, że nizina Flandrii jest i nadal pozostanie drogą sercu Anglii, jednym z głównych przedmiotów zainteresowań polityki brytyjskiej. „Powrót do sytuacji z r. 1914” — przypomina, że po-gwałcenie terytorium belgijskiego po-

Nie te jednak rzeczy, które tak są mechanicznie włączone w intencje obywatelskiej, szkoda dziś utworom Żeromskiego najbardziej. Ostatecznie, nie jest przecie rzeczą trudną kilka kartek od czasu do czasu po prostu opuścić. I nie to im szkodzi najbardziej, że pewne „idealne” typy patriotów i społeczników po kilka razy w nich się powtarzają: bo Żeromski umie swoje typy indywidualizować i, ostatecznie, Raduski nie jest tym samym co Judym, ani Bodzanta nie jest identyczny z Granowskim.

Gorzej już bywa, kiedy ideowe programy nie harmonizują z linią charakteru i powieściową rolą swych głosicieli. Pięknie mówi i działa Granowski, lecz nie we wszystkim przekonywa, bo nie tylko nagle się zmienił (do czego nie byliśmy przygotowani), ale w dalszym życiu zupełnie nie ujawnia śladów życia wcześniejszego. Wykład Bodzanta u stroju społecznym brzmi bardzo szlachetnie, ale wydaje się szczególnie zbyteczny, gdy w dalszym ciągu się ujawnia, że Bodzanta hyl powieściowo potrzebny po to, żeby się okazał najbardziej przewrotnym z kochanków Ewy (tym, który się w niej zakochuje dopiero wtedy, kiedy mu wyznała, że jest podwójną morderczynią). Dość też zaskakują nas takie np. wiadomości, jak ta, że Ewę, po zamordowaniu Szczerbica wracającą do kraju, wzruszyły „stare, święte wieże Krakowa” i t. p.

Najgorzej jednak bywa wówczas, kiedy motywy patriotyczne lub społeczne prowadzą do sofistyki uczuciowej, która nie tylko zniekształca rysunek charakterów, ale pacy wewnętrzną logikę kompozycji. Jaskrawym tego przykładem jest *Wierna rzeka*. Historia miłości kończy się tam, jak wiadomo, dramatycznym rozstaniem na zawsze. Dlaczego tak? Sprawa ta wygląda inaczej od strony bohaterki a inaczej od strony bohatera. Salomea dała się przekonać matce swojego kochanka, że dystans kulturalny i towarzyski pomiędzy nimi jest zbyt wielki, by marzyć hodaj mogła o zostaniu jego żoną. Uznawszy słuszność tego wyводу, Salomea nie tylko poświęca swoją miłość, ale heroicznie przemilcza nawet, że ma urodzić dziecko. A kochanek jej, Odrowąż, jakże zamyka tę historię? Myśli jego są zogniskowane dokoła powstania: wyobraża sobie, że będzie mógł do niego wrócić i że ono będzie się jeszcze ciągnęło; o Salomei nie tylko nie domyśla się, że jest ona już matką jego dziecka, ale wogóle nie zdaje się, żeby myślał cokolwiek. „Młody książę — (— tyle tylko o tym czytamy —) ezdeł w niewiedomości do swego rzekomego czynu i dla tego czynu poświęcał miłość, wdęptywał ją bez litości w ziemię”. W tym zdaniu wyczuwamy naturalnie ironię, wiedząc, że powstanie już wcześniej upadło i że Odrowąż *de facto* jest wywożony przez matkę swoją za granicę (czy może nawet tylko do

Krakowa). Co będzie później? Myślimy, że trafnie przewidziane to zostało przez Salomeę i przez księżnę: Odrowąż zapomni. Może tak samo, jak inny bohater Żeromskiego, Marek z *Cieniów*, o którym czytaliśmy: „Wyjechał wkrótce i zapomniał tak zupełnie, jak człowiek dużego imienia i fortuny zapomina o tego rodzaju epizodzie”. A jednak nie może tu być mowy o analogii zupełnej. Nawet dla matki Odrowąży było rzeczą oczywistą, że to, na co patrzyła, to „nie... był zwyyczajny przypadek amatorów chorego z pielęgniarką, lecz głęboka miłość”. Musimy więc dla zachowania się Odrowąży szukać innego tłumaczenia. Autor, istotnie, ukazał trochę okoliczności, które na takie tłumaczenie zdają się składać. Nie brak w jego opowiadaniu uwag, które do pewnego stopnia potwierdzają opinię, jaką o Salomei powzięła księżna, t. j. że jest to „osóbka” przy całej szlachetności swojego serca bardzo pospolita, o „mniemaniach alkierzowych”, przyzwyczajeniach parafianskich i wyrażeniach gminnych. Po prawdzie jednak nie ujawnia się to w powieści: przeciwnie, ile razy Salomea się odzywa, mówi rzeczy nie tylko głęboko ludzkie, ale i rozumne, dowcipne, często wznieśli; w pewnej zaś chwili wypowiada (do Huberta Ollromskiego) słowa, w których staje się jakby prorokinią, przemawiającą w imieniu całego pokolenia („...A jeżeli ich nie możecie pobić, to kto z was ośmielił się rozpaść w nich dziec, co ją ze sobą z okrutnych śniegów w duszach przyniesi?”). Słowa te mogłyby być z małymi zmianami włożone w usta bohaterki *Warszawianki* Wyspiańskiego! A im wyższą duchowo okazuje się Salomea, tym mizerniej wygląda nam Odrowąż (czyż możemy sobie wyobrazić takie zakończenie *Warszawianki*, w którym by narzeczony Marii wracał z hitwy, ale matka uwodziła go za granicę?). Myślimy sobie: ten człowiek był bohaterem w hoju, ale w życiu cywilnym jest lalką. Czy jednak taka reakcja jest w zgodzie z intencją autora? Otóż to właśnie, że rzecz nie jest wyraźna. Autor wprawdzie rozpacza z Salomeą i daje nam odczuć całą okrutną jej krzywdę, ale i Odrowąży nie skąpi słownictwa wzniosłości, a w pewnej chwili mówi o nim: „Bezlitosność jego była tak wielka, jak bezlitosnym jest los Polski”. Jest więc tak, jakby Żeromski jedną ręką policzkował swojego bohatera, a drugą podtrzymywał nad jego głową gwiazdę poprzednio przyznawaną. W chwili kiedy *Wierna rzeka* się ukazywała, dwoistość ta mogła mniej razić: przegrane powstanie było przecie nie tylko świętością i źródłem natchnień (przecież i o Odrowąży czytamy, że „tęsknił do woda, do nieubłaganego, żelaznego strategika, który uderzył nogą w krwawą ziemię i obudził legiony”); dziś, kiedy niewielkim wysiłkiem wyobraźni możemy sobie przetransponować wypadki powieści na inną wojnę, szczęśli-

wie zakończoną. Odrowąż hardzo nam małe, a zakończenie *Wiernoj rzeki* czyni ją jednym z najbardziej niepokojących utworów Żeromskiego, bo tak się mogła wydawać bliśka doskonałości i tak w samym niej jako kregosłupie została wzniesiona. Nie chodzi, naturalnie, bynajmniej o to, żeby autor miał konieczność postawić Salomeę z Odrowążem na t. zw. „kobięciu ślubnym”. Nie stanęli na nim i ci, którzy w rzeczywistości byli ich pierwowzorami; wystarczy jednak przeczytać w książce Noysewskiego dzieje wypadków, z których została wysnuta fabuła *Wiernoj rzeki*, aby się przekonać, o ile życie lepiej „skomponowało” ten romans, który u Żeromskiego kończy się takim rozdźwiękiem artystycznym. Nie tłumaczy tego rozdźwięku ci, co mówią, że poeta miał prawo uniknąć zakończenia, które mogło wyglądać konwencjonalnie: bo złamanie „konwensansu”, jeżeli logika kompozycji do niego właśnie prowadzi, wymaga jakiegoś okupienia w czym innym. Rozumiemy, że Anna Karenina mogła zmęczyć i znudzić Wrońskiego; usprawiedliwiliżymy może ostatecznie i Odrowąży, gdyby Salomea była nam naprawdę przedstawiona jako stworzenie niemądre i ordynarne, jakiego oczekiwaliby się po pewnych komentarzach autora. Tu jednak ujawnia się inna właściwość Żeromskiego, którą już dawno zaobserwowała krytyka. Oto, burząc jedne, ustanawiał on sobie inne konwensanse. Jednym z nich jest, że, skoro kocha się powstaniec, patriot, społecznik, nie mogą kochać się nisko: choćby nawet przedmiot ich miłości był scharakteryzowany bardzo ujemnie, musi mieć w sobie (pomijając już piękność) coś szlachetnego, górnego, wspaniałego. Wystarczy wspomnieć Krystynę z *Róży*, albo Xenię. Ba, przecież nawet Laura, kochanka Baryki, raz po raz zaskakuje nas, okazując się mniej zrozumiałą, prawdą, ale i wyższą niż nasze przypuszczenia. Tu właśnie sofistyka uczuciowa niszczy harmonię artystyczną *Wiernoj rzeki*. Ta sama sofistyka gmatwa też i bardzo dwuznacznie zamyka romans Rozluckiego i Tatjana: bo Tatjana ma tyle w swoim charakterze wzniosłości, że, obiektywnie biorąc, bynajmniej nie zasługuje na tę pogardę, z jaką Rozlucki ją odpycha: skoro zaś tak jest, to trudno naprawdę pojąć, w jaki sposób Rozlucki po jej samobójczej śmierci, w której nie był bez winy, może „nieomylnie”, a więc z niejaką aprobatą autorską, czuć, że w tym przypadku wspomaga go duch ojca, symbolizujący tu przecież ojczyznę.

W tym to sensie uczucia patriotyczne i społeczne działały czasem zniekształcająco na utwory Żeromskiego: nie przez to, że żył, ale przez to, że nie zawsze się harmonijnie zestrzajały z tym, co miało stanowić o głównym planie utworów. Uczucia te

ciągnęły za sobą nieuchronnie interwencję Wielkiej Brytanii, której potęga militarna rośnie w szybkim tempie. A więc, jak mówią Francuzi: *au bon entendeur — salut*.

\*

Nie bez słuszności nazwano Austrię „Belgią środkowej Europy”. Analizując konsekwentną i pełną żywotności politykę kanclerza Schuschnigga, dowodził ktoś, iż celem jej jest stworzenie *trait d'union* pomiędzy Berlinem i Rzymem. Raczej — a może równocześnie — zabezpieczenie ze stron obu. Podtrzymywanie tradycyjnej przyjaźni z Włochami z jednoczesnym utraceniem wpływów uważanego za rzecznika Rzymu ks. Starhemberga. Porozumienie z Rzeszą, połączone z odmową otwarcia granicy dla kilku tysięcy hitlerowców austriackich, przebywających w Niemczech. Przywrócenie obowiązkowej służby wojskowej, poprzedzające rozwiązanie organizacji parlamentarnych, pozostających pod wpływami jednego lub drugiego sąsiada. Oto wskazówki, że kanclerz Schuschnigg dąży uporcie i z żelazną energią do zapewnienia Austrii — po niezależności finansowej, która już jest faktem — pełnej samodzielności politycznej.

\*

Wśród oznak niewątpliwie poprawy w gospodarstwie światowym trzeba zanotować jedną o wyjątkowej doniosłości. Jest nią ujemny bilans handlowy Stanów Zjednoczonych. Jeśli ten stan

rzeczy utrzyma się przez czas dłuższy, to można będzie sądzić, iż w handlu międzynarodowym następuje powrót do zdrowego sensu. Ten zaś wymaga, aby kraj wierzycielski, jakim są Stany, pozwolił dłużnikom spłacać swe długi przy pomocy eksportu. Pamiętamy, że protekcyjizm Stanów był jedną z głównych przyczyn kryzysu światowego. Z tamtej strony Atlantyku przyszły pierwsze złe wieści, stamtąd też od pewnego czasu odzywają się sygnały poprawy.

W samych Stanach Zjednoczonych poprawa jest zupełnie wyraźna i pod tym względem zgadzają się wszyscy. Ale nie wszyscy są zgodni w ocenie przyczyn koniunktury. Zwolennicy Roosevelta twierdzą, że źródłem jej był *New Deal*. Poprawa wystąpiła — mówią inni — mimo *New Dealu*, a może właśnie dlatego, że prezydent Roosevelt musiał w wielu wypadkach cofnąć się z obranej drogi. Kto ma rację? Tego zapewne nie dowiemy się wcale. Ale dowiemy się i to niezadługo, kto ma większą: Roosevelt czy Landon. Dowiemy się, co więcej znaczy: czy siła nowatorskiego dynamizmu, idącego naprzekór zorganizowanemu kapitałowi, czy też trusty, którym Roosevelt wypowiedział walkę na śmierć i życie. Dowiemy się wreszcie — jak głosować będą murzyni. Prognozyki? Jeden z najbardziej wiarygodnych brzmi: murzyni głosować będą za Rooseveltem, który będzie miał za sobą 52,4% wyborców i 28 stanów; Landon — 47,6% wyborców i 20 stanów. A co przyniesie „trzecia” partia

Lemkego, która pod wodzą katolickiego księdza Coughlina i pastora Geralda Smitha namiętnie zwalcza Roosevelta? Oto jeszcze jedna niewiadoma przyszłych wyborów prezydenckich.

\*

„Porozumienie trzech” nie przyniosło jeszcze stabilizacji walut, ale podobno znacznie przybliżyło. Anglicy (tak twierdzą finansisci) inaczej zaczynają dziś patrzeć na te sprawy. Jeszcze do niedawna Anglia nie miała nic przeciwko panowaniu chaosu na rynkach walutowych. Przeciwnie, chaos był jej na rękę. Po dewaluacji z 1931 r. Anglia „nakręcała koniunkturę” za pomocą taniego kredytu. Tani pieniądz — to dopływ kapitałów z zagranicy, inaczej mówiąc ich ucieczka z krajów pochodzenia, np. z Paryża do Londynu. A że kapitały uciekają wówczas, gdy wzrasta niepewność co do stałości stosunków gospodarczych i politycznych, więc... nie było mowy o stabilizacji. Ale dziś sytuacja się zmieniła. W ciągu tych lat kilku Anglia zgromadziła olbrzymie zapasy złota, które ją zabezpieczają od wszelkich smartwien. A więc nadzieje na współpracę Anglii w dziele odbudowy gospodarczej świata wyglądają coraz realniej.

Słowem — koniec kryzysu. Morał? Znajdziemy go w krótkiej bajeczce Leonarda da Vinci: „Potok niósł tyle ziemi i kamieni w swoim łóżysku, że musiał zmienić koryto”.

JUNIUS



były w nim najwyraźniej silniejsze od względów na artyzm.

Ze stwierdzeniem tym wracamy do pytania początkowego. Czy więc to, co jest trwałym dorobkiem Żeromskiego w literaturze, to zbiór zachwycających ale luźno złączonych fragmentów? Że tak jest w dużej mierze, to rzecz powszechnie odczuwana i, jakżeśmy widzieli, pośrednio stwierdzona przez najhardziej entuzjastycznych krytyków. Akcentem podobnej krytyki pobrzmiwają, jak się zdaje, i niektóre własne wyznania Żeromskiego: owe zwłaszcza słowa *Puszczy jodłowej*, w których szczytna szczerość przebija przez maskę ironii: „Ukladałem (w latach szkolnych) dramaty, już wówczas niesceniczne i chybione... „Ukladałem nieskończone i, oczywiście, źle zbudowane powieści“. Przypuszczać by też można, że swoją twórczość miał na myśli, kiedy pisał w *Nawracaniu Judasza* te wzruszające słowa — powieściowo zresztą do czego innego zastosowane — o dziwnym pomniku, który jest „jak polska dola, bez oblicza i formy, jedyny w świecie, a wiecznej pełen poezji“. Niejeden, w każdym razie, z jego czytelników gotów był te słowa uznać za świetną formułkę dla jego twórczości.

Byłaby to jednak formuła prawdy niepełnej.

Bo szczególną właściwością twórczości Żeromskiego jest nie tylko żywiołowa bujność, ale także wzbierający raz po raz upór, by ją opanowywać. Prawda, że walka w ten sposób wstępniana (jak to dobrze wyraził Adamczewski) nie zawsze była znaczona zwycięstwem, „bodaj że częściej klęskami“. Bywały w niej jednak i zwycięstwa. Kiedy się odczytuje dzieła Żeromskiego jedno po drugim, spozstrzega się rzecz nie na zbyt w dziejach literatury zwyczajną: mianowicie, że w każdym większym okresie jego twórczości jest jakieś wzniesienie, na którym jego wysiłki w stopniu wyjątkowym się koordynują, dając w wyniku dzieło, wyrażające najistotniejsze jego impulsy artystyczne w sposób harmonijnie ekspresyjny.

Niekoniecznie są to jego dzieła najpopularniejsze, ani te, które miały największe znaczenie historyczne, ani te nawet, w których mieszczą się najbardziej olśniewające fragmenty. Tym bardziej dziś zachwyca ich krystaliczna poezja. Poza drobnymi opowiadaniem i utworami opisowo-lirycznymi, o których już tu była mowa, do szeregu tego należą *Szyzofowe prace* i *Duma o Hetmanie*, należy w pewnej (aczkolwiek) mierze *Uciekla mi przepióreczka*.

Nie są to bynajmniej te dzieła, w których Żeromski uniknął ingerencji pierwiastków obywatelsko-ojczyźnianych: raczej przeciwnie: utwory, należące do grupy, w której tych pierwiastków jest najwięcej, utwory, w których te pierwiastki stały się siłami kształtującymi kompozycję: dzieła najbardziej obywatelskie, najbardziej patriotyczne, najbardziej społeczne. A o nich to właśnie powiedzieć możemy, że bardziej niż jakiekolwiek inne Żeromskiego nadają się do tego, żeby jakiś Nienaski dał je, jak to marzył w *Nawracaniu Judasza*, „do przeczytania hezstronnemu i czującym człowiekowi z zachodu“. Rzecz bynajmniej nie tak paradoksalna, jak się niektórym wydaje: Tragedia narodu, dramatyczne perypetie jego pokoleń — to sprawy o interesie powszechnym, tak jak powszechne są pojęcia o ojczyźnie i społeczeństwie. *Konrad Wallenrod*, najcisłej polski, jest zarazem nawskroś uniwersalny i był jednym z największych tłumaczonych poematów polskich. *Uroda życia* jest powieścią chybioną, ale bynajmniej nie z powodu swojego tematu: bo inna odmiana tego samego tematu — budzenie się uśpionych uczuć narodowych — mamy rozwiniętą w *Korsarzu* Conrada, któremu nikt nie odmówi rangi utworu wybitnego i mającego znaczenie powszechne. W podobny sposób możemy mówić i o powszechnym znaczeniu *Szyzofowych prac* czy *Dumy o Hetmanie*.<sup>1</sup>

<sup>1</sup> Artykuł ten jest częścią odczytu wygłoszonego w Kole Polonistów U. J. P. w Warszawie dn. 11 grudnia 1935 r.

## FRAGMENT

*Chłopcze, zgubiony w czasie, mogę jeszcze widzieć  
twoje skupione czoło i miękkie zarysy  
wiotkiego ciała, w radosnym bezwstydzie  
kwitnącego na niebie bladym jak irysy.  
Ciemny nurt mego życia powoli odślania  
sens twojego pragnienia i twoego pytania.*

*Nagi chłopcze nad czarną rzeką, jakich wieści  
czekałeś od rozległej białych chmur gromady?  
Teraz zarosły chwastem i wiatr zatarł ślady  
dróg prowadzących w młodość, i tylko szeleści  
liście wspomnień, krwawiące pod słońcem jesiennym,  
i tży jak jarzębiny błyszczą w kraju sennym.*

*Po domu mej pamięci z przygastym uśmiechem  
błądzisz teraz zdumiony, że tak inne niebo  
pochyla się nad twoich snów niewinnym grzechem,  
pragnieniem bohaterstwa, wierności potrzebą,  
niebo gaszące swoim kamiennym westchnieniem  
każdy radosny poryw, niemądre natchnienie.*

*Wczoraj przyszły odwiedzić cię dawne dziewczęta,  
szumiały sukienkami, śpiewały i grały,  
gwarem świecił i śmiechem dom pamięci cały,  
rozbrzmiewał imionami, których nie pamiętasz.  
Odeszły. Wspomnij oczy i usta dziewczęce,  
i uścisk rąk, i kwiaty na letniej sukience.*

*Wspomnij. Oto się pierwsza twarz wynurza z cienia,  
lecz jest już tylko włosów zapachem wzburzonych,  
splątaniem drobnych palców, a głos z oddalenia  
imię twoje powtarza wciąż jak urzeczony.  
A że na jawie twarzy tej nie ujrzyś więcej,  
snu przejmującą czułość zmyj płaczem dziecięcym.*

*Wspomnij. To inny leciał wiatr nad domem,  
to inne się budziły o zmroku księżycy,  
inny świat się otwierał i wabił ogromem,  
i krył w ciemnych obszarach swoje tajemnice.  
Tak inaczej pachniały nowych słów ogrody,  
jak burza letnia świeży bywał smak przygody.*

*Ukryta prawda rzeczy zjawiała się w mowie,  
ludzkie spragniony umysł kłamiwym olśnieniem,  
mżyło niebo gwiazdami... Wspomnij... i opowiedz...  
ścigałeś skarb, a były to zwykłe kamienie,  
proste i mroczne glazy, których czas nie kruszy,  
i glazy te by ożyć żądały twojej duszy.*

*Wspomnij. Lecz już cię nie ma. Jesteś tylko cieniem,  
cieniem mej pamięci, cieniem bez pamięci,  
żywy wiatr, który wieje przez duszy przestrzenie,  
zmył cię jak płamę chmury ze zbocza. Zakłęci  
czekali tylko na to aniołowie,  
by zasiać pustkę w każdym nowym słowie.*

*I słyszę. Mówią ludzie. I nic nie rozumiem.  
Czerwie wyjadły ziarno, puste sterczą kłosa.  
W tym przez który przechodzę gwar się szerzy tłumie,  
lecz znakiem bez znaczenia brzmią słyszane głosy,  
jak pustaki orzechy, co ziarna nie mają.  
Ale te puste łupiny śpiewają!*

*I śpiew szerzy się we mnie jękiem powikłanym,  
wabi pozorem prawdy ukrytym w odmgocie,  
podstępny nurtem wsysa w świat zastany  
i obiecuje nowy dać klucz i zakłęcie,  
aby się złudy czasu otwarły wierzeje,  
i nową pieśnią, nową klęską dnieje...*

WŁADYSŁAW SEBYŁA

HANNA  
MORTKOWICZ:

## EGIPSKIE ZIARNA\*



Meczet błękitny w Kairze

Na stromych białych schodach meczetu Reffai stoi jeszcze straż honorowa, brunatni, wyprężeni żołnierze w żalobie. Brudni kaprawi starej w fantastycznych zawojach kucają u progu wśród stosów porzuconych pantofli, wyciągają kościste ręce, grożąc nimi muchom i niewiernym. A w głębi, po puszystych dywanach, z obuwiem w dłoni, snują się korowody tych, co przyszli złożyć hold umarlemu władcy Egiptu. Czarne kobiety, których oczy błyszczą nad grubą koronką *jeszmeku*-zasłony, prowadzą półnagie dzieci. Idą starcy w turbanach i szerokich barwnych szatach, miejscy eleganci w europejskich garniturach i czerwonych *tarbuszach*... Bzyczą muchy odganiane kitkami z włosia, monotonnie zawodzi chór mullów, którzy siedzą na ziemi z podwiniętymi nogami nad Koranami opartymi o inkrustowane podpórki.

Sarkofag z białego marmuru i złota wznosi się pysznie pod świecznikami owiniętymi w krepę. Przy ścianach ostro, niepokojąco pachnąc wędzną olbrzymie wieńce, ubrane we wetęgi wszystkich państw świata. Ten oficjalny hold królów i rządów, trójbarwny i dwubarwny szarfy, zwitki krepy wśród gęstej zieleni — są jedynym europejskim akcentem w kaplicy grobowej egipskiego króla Fuada.

Za kilka dni zwiędną ostatecznie kwiaty, znikną wieńce wyrzucone na śmietnik. Zachrypnięci imanowie i mullowie z ulgą zamkną iluminowane Korany. Tłum ciekawych odpłynie spod arabskiej kopuły.

Nie trzeba nawet czekać kilku dni. Już dziś na gwarnych, słonecznych ulicach Kairu, pod ścianami wysokich, wielkomięjskich kamienic tłoczą się ludzie o ciemnych rozradowanych twarzach, tłumy gapiów czekają na jakieś zajmujące i mile widowisko.

Za chwilę, w otoczeniu otylech dostojnych ministrów, przejedzie tędy w otwartym powozie chłopiec w czerwonym *tarbuszu*, wyrostek o nalanej, trochę sennej twarzy — nowy król Faruk. Wzdłuż ulicy zakłaszczą rytmicznie brązowe dłonie, rozlegnie się krzyk wiwatów, grube, ciemne wargi rozciągnie uśmiech lubości:

— Ach jaki ładny, jaki młody, jaki mądry, jaki miły...

To zjawisko jest powszechne, od wieków ujęte w sentencję przysłowia. A jednak w

\* Por. Pion Nr. 42 (159): „Wojna w Jeruzalem“.

Kairze, mieście tysięcy grobów i setek tysięcy prymitywnych ludzi, ma ono formę jaskrawszą, bardziej namacalną.

Piramidy, groby faraonów egipskich, stoją wokół tego miasta, widoczne z daleka jak różane trójkąty na tle złotych piasków pustyni. A te potężne ostrosłupy z kamienia powstały pięć tysięcy lat temu jako próba przewyciężenia śmierci, trwała pamięć znikomego życia, protest, żądza obrony przed nadchodzącą nicością.

Śmierć nadeszła niechybnie. Na cmentarzyskach Gizeh, Sakkary, Karnaku, Luksoru spoczyły nabalsamowane, spowite w gałgany i papirusy ciała władców, mędrców i rycerzy. Złociste skrzynie i malowane trumny, emalie, klejnoty, drogie kamienie i święte symbole, postacie bogów i zwierząt, czarodziejskie zaklęcia sztuki miały odzegnać zniszczenie śmierci od tych wspaniałych mumii. A potem piach żrący i rudy zasypał rozległe nekropolie i tylko pustynne wzgórki wzniosły się nad podziemnymi kryptami pełnymi drogocennych skarbów i ludzkiego próchna. Na miejscu gdzie była przed tysiącami lat stolica Egiptu, w Memphis, wyrósł z śniadych namulów, z szarego błota, las pni opancerzonych łuską, gaj palm daktylowych o długich nastroszonych piórkach liści. Z kolei powstawały i rozsypanywały się w gruz bastiony rzymskie, które miały być znakiem władzy Rzeczypospolitej na tej ziemi. Po brązowych, smukłych Egipcjanach, wojownicy Babilonu i Rzymu, żydowscy niewolnicy, czarni Etiopi i Koptowie, dzicy, okrutni najeźdźcy Saraceni grzebali w delcie Nilu swe zwycięstwa i klęski, ciała i kości, by przeminąć pod naporem nowych, innych dni.

Pierwsze kościołki chrześcijańskie, świątynie Koptów podobne do szkatulek ze zmuszającego kamienia, kości słoniowej, hebanu, perłowej masy i malowanych szkielek — zapadły się w ziemię, poczerwiali pod ciężarem wielu śmierci i wielu wieków. Potem na ulicach nowego muzułmańskiego Kairu zaczęły wyrastać jeden za drugim meczety o cienkich strzelistych minaretach, koronkowych rzeźbach i krągłych kopulach. Każdy z tych tysięcy pięciuset meczetów Kairu powstał na czyimś grobie, jest pośmiertnym trwałym monumentem, kryjącym kości saraceńskich sultanów, kalifów i mameluków, wodzów i mężów stanu.

Piramidy faraonów przetrwały miliony zgonów i narodzin, powstanie i zanik wielu ras, kultur, religii, narodów. Meczety muzułmańskie okazały się trwalsze od dynastji, które je wzniosły, od całych dzielnic, na których gruzach i fundamentach wyrósł współczesny Kair. A te wszystkie grobowce z gładzonego i rzeźbionego kamienia, z brył granitu i piaskowca — uczą nas lekceważyć drobne uszczerbki dni i lat wobec niezmiennego trwania życia.

Król Fuad spoczął pod kopułą nowego, bardzo wspaniałego meczetu Reffai w kościelnym sarkofagu, który wznosił sobie już za życia, za cenę wielu tysięcy funtów.

Zwykli mieszkańcy Kairu nie mają tak zhytkownych mieszkań pośmiertnych. Ale dzielnic ich cmentarzy ciągnie się całymi kilometrami na wzgórzach pod Cytadelą, za linią zrujnowanych rzymskich akweduktów.

Częste epidemie tyfusu, cholery, ospy gnębią ludność miasta. Trąd zjada ciała swych ofiar, które jak upiory snują się po cmentarzach. Czarne muchy siadając na zaroślach oczach przenoszą zarazki trachomy. Nawet łagodna szarawa woda Nilu tai w sobie mikroskopijne pasożyty, powodujące nieuleczalne gnienie ciała. Trujące pająki, żarłoczne mrówki rzucają się na swe ofiary. Z pustyni nadciąga często *hamsin* i spalają-



cym swym oddechem gniecie płuca, dławii gardła.

Toteż trumna, owinięta w barwną materię, z czerwonym *tarbuszem*, leżącym na wieku, niesiona przez grupę poważnych mężczyzn, jest częstym widokiem na ulicach Kairu. A na pustynnych stokach, wśród pochylonych parkanów wyrastają wapienne tablice i obłe poziome bloki grobów, białe kopułki cmentarnych meczetów. W tej dzielnicy nie ma kwitnących roślin i nie ma żywych, silnych ludzi. W tumanach kurzu, wśród zeschniętego nawozu sterczą nagrobki i pieńki uschniętych drzew, wloczą się chude kozy i żebracy w lachmanach. Śmiertelny proch spynie się w oczy, zamienia kamienną perspektywę i płowe piachy na horyzoncie w jedną spaloną tragiczną pustkę.

Z rzadka, tylko w dni uroczystych świąt czy rocznic napływają tłumy ludzkie między parkany i kopuły do małych, pustych domków cmentarnych. Ale za to życie tam w dole rozrasta się i drży mocnym, gorącym rytmem. Cóż z tego, że umarli leżą pod białymi kamieniami, że gnuśnie zasypiają w martwocie płytkie kanały i zasypiane gruzem place starego Kairu, które zaniata ostry piaszczysty kurz?

Nowy Kair jest coraz większy i ludniejszy. Obok jego średniowiecznych meczetów wyrastają nowoczesne europejskie kamienice, banki i hotele. Z ulic ciasnych i wschodnich, pełnych żaru i zgiełku przekupniów, wybiegają asfaltowane aleje ujęte w szpalery drzew kwitnących czerwono i błękitnie. Karawany płowych wielbłądów wymiatają szeregi świecących zwinnych aut. Obok słynnych bazarów na Shari el Muski, przepychu i tandety kramów Khan el Khalil, świecą na placach i ulicach nowych dzielnic wystawy magazynów, pełne międzynarodowej, luksusowej produkcji.

Tramwaje, wypełnione ludźmi w czerwonych *tarbuszach*, w białych zawojach dzwonią niedaleko egipskich piramid, rzymskich obwarowań i saraceńskich bram. Tych żywych ludzi, ich codziennych spraw, ich pracy, miłości, zysku i cierpienia jest wszędzie tak wiele, jakby place i bulwary Kairu były jeszcze za ciasne dla miliona jego mieszkańców. Kobiety w czarnych zrudziałych chustach i zaslonach uginają się pod ciężarem dzieci, siedzących okraciem na ramieniu, wczepionych palcami w suknie. Starcy o sfaldowanych, ciemnych twarzach i mętnych źrenicach grzeją swe kości na progach domostw i meczetów. A praca mężczyzny wypełnia wszystkie miejsca w warsztatach, sklepach, na ulicach zalanych słońcem południa. Po asfalcie, miękkim od żaru, biegną gdzieś ludzie w białych turbanach i faldzistych rozwianych szatach *galabijach*, w tropikalnych hełmach i czerwonych *tarbuszach* z czarną kitką. Migają ich nogi białe lub obute w żółte i czerwone pantofle z safianu, w białe półbuty obłożone brązową skórą.

W osłoniętych plachtami, krętych ulicz-

kach bazarów krzątają się kupcy koło swych jedwabi, olejków wschodnich i dywanów. W otwartych wnekach warsztatów, wysoko nad ziemią, siedzą w kucki rzemieślnicy, a odgłos ich pracy rozlega się wśród domów i miesza z krzykiem sprzedawców ulicznych i nawoływaniem roznosicieli ożywczych trunków. W kawiarniach, na wyplatanych stolikach, w cieniu, ludzie dyskutują nad filiżaneczkami kawy i butlami narghili. Przed muzeami i meczetami *dragomani* rzucają się natargowicie na nielicznych turystów, którzy mimo kryzysu odwiedzili w tym roku Egipt. Woźnicy i szoferzy, czekając na pasażerów, oganiają się od much. Dwukolorowe malowane wozy zaprzężone w bawoły z ładunkiem jarzyn ciągną od pól. W lśniących limuzynach przemykają przez słoneczne ulice dostojnicy państwowi śpiesząc na posiedzenia niezwykłej wagi. Czas jest gorący. Stary król umarł. Nowa konstytucja czeka na uchwalenie. Ibn Saud, król Hedżasu i Nedżu, przysłał posłów, proponując przymierze z Egiptem, stworzenie wspólnego frontu państw arabskich na całym bliskim Wschodzie. Echa doniosłych, groźnych spraw, które otoczyły Egipt, poruszają i ulice Kairu.

Oto w jednym zaułku grupa ludzi słucha opowiadania naocznego świadka, który kilka dni temu w Aleksandrii widział, jak negus abisyński wraz ze swą rodziną, uciekłszy ze zdobytego kraju, odpływał z Afryki do Jeruzolimy. Ostatnie wiadomości z Addis Abeby, kłęska sąsiedniego państwa, którego niezależność kończy się tuż obok w oparach krwi i gazów trujących, wywołują liczne głośnie komentarze.

Na innym rogu donośne okrzyki przywołują przechodniów do skarbonek, domagają się namiętnie datków — rzecz powstania arabskiego, które wybuchło w Palestynie przeciw Anglikom i Żydom. Współwyznawcy zza północnej granicy proszą o poparcie, wspólną, solidarną akcję panarabską przeciw zniehamawidzonemu intruzom, pomoc od braci mahometan. Ludność Egiptu musi zająć jakąś zdecydowaną postawę wobec tej sprawy!

A tuż właśnie stukają rytmicznie o bruk maszerujący żołnierze angielscy. Uzbrojone pułki ze Szkocji i Kornwalii mają wraz z tankami i armatami wyruszyć jeszcze dziś ku Kantharze, w stronę Palestyny. Potężna Anglia występuje zbrojnie w obronie swej zagrożonej władzy za Suezem.

Śniadzi przechodnie w fantastycznych wschodnich szatach patrzą na płaskie helmy szturmowe i jasne głowy żołnierzy w zielonawych mundurach.

— Interesy imperialistyczne Anglii... Bunt tuziemców tłumione tak krwawo... Wspólny front panarabski... Obcy europejscy żołnierze maszerujący sprężysto po ulicach Kairu...

To wszystko już bywało, to się powtarza...

Mieszkaniec Kairu patrzy bez zdziwienia, jak splot konfliktów politycznych, skłó-

cone interesy wielu państw, ogień wojny — nawracają znów ku wschodowi, wybuchają znów, jak to było już tyle razy w dziejach świata, wzdłuż afrykańskich i lewantyńskich wybrzeży.

Okresy wspaniałości i wojenne kłeski, różne panowania i konflikty przychodziły tu i odchodziły, znacząc grunt kamieniami fortec, świątyń i grobów.

Ludzie z Egiptu są cierpliwi, potrafią wszystko przetrwać. W ich pódziwkich, często nieświadomych sercach płynie wraz z gorącą, trochę leniwą krwią tradycja tysięcy lat, przemieszane w mnogich skrzyżowaniach soki epok, w których tylokrotnie kruszyło się i odradzało na nowo życie ludzkie w cieniu piramid i minaretów.

Z tysięcy tych minaretów godzi w niebo pięciokrotnie w ciągu dnia błagalny śpiew. A ten śpiew i arabskie wersety Koranu uczą wyznawców wschodniego fatalizmu, wiary w przeznaczenie, martwej i wytrwałej konieczności niesprzeciwiania się losom.

Potomkowie Egipcjan, Etiopów, Saracenów są pośród rozognionego, namiętnego świata bardzo opanowani i trochę senni. A kiedy zbliżyć się do nich, spojrzeć z bliska w ich oczy mroczne i pełne posępnej nocy — widzi się w tych oczach obojętną mądrość wiedzy o śmierci i o życiu. I wtedy ze zdumieniem poznaje się, że ci przekupnie i rzemieślnicy współczesnego Kairu patrzą na świat podobnie jak posągi bogów, władców i mędrców, wydobyte z grobów i piramid egipskich.

Tamte oczy bazaltowych, porfirowych hostów o obliczach sępa, krowy i szakala patrzą na życie od tysięcy lat. I, zrobione z kryształu górskiego, z jasnego kwarcu, z gluchego kamienia, mają przerażającą moc wymowy. Oblicza drewnianych skrybów, wójtów, wojowników najstarszej dynastii rozjaśnia mądrość ludzka i zarazem boska. Wypukłe usteczka i żółte kragle policzki dawno umarłych władczyń całą prawdę miłości objawiają w swym łagodnym spojrzeniu, w zwierzyńskich półśmiechach sfinksa. Władczy i rycerze średniego państwa w lotosowych i papirusowych tiarach mają nogi wysunięte zwycięsko naprzód, ciężkie pięści złożone na polerowanych kolanach, twarze czarne, siwe i złote, pełne niepożytej siły.

Te posągi zamknięto niegdyś w ciemnych grobach wraz z całym zbytkownym sprzętem umarłych ludzi, z szatami i kosztownościami, znakami bogactw i władzy, z girlandami kwiatów, ziarnami zbóż i ziół. A kiedy po tysiącach lat wylamano drzwi podziemnych cmentarzy, wyniesiono z nich także na światło dzienne półzbutwale garsteczki liści i nasion. Były wruszające i nikle obok szafiru, złota, purpury, drogocennych emalii i kamieni, wobec oszołamiającej piękności skarbow Tut Ank Amona. A jednak one to właśnie przetrwały żywe ten grobowy czas kilkudziesięciu wieków i dziś, tak samo jak wtedy, kwitną na ziemi Egiptu.

Powalone na wznak leżą w palmowym lasku w Memphis kolosy Ramzesa Drugiego. Ich twarze poryte w hieroglify, ich kamienne oczy patrzą w zakurzone pióropusze palm, chwycące się na niebie. Obok ich po-gruchotanych kłoców skaczą brązowe, prawie nagie dzieci, o stopach szarych od zaschniętego błota. Brzemienista kobieta w spłowiałej szacie idzie od wsi, niosąc na głowie kosz pełny trzepocących się kur i gołębi, a metalowe obrączki brzęczą jej na nogach. Wzdłuż kanałów o mętnej, zamulonej wodzie chwieją się trzciny cukrowe, bieleje bawelna, dojrzewają zboża i trawy, których ziarna odnaleziono w grobowcach piramid.

W podziemnych korytarzach Serapeum, na nekropolii Sakkary, stoją szeregi trumien świętego białego byka. Refleksy świateł pelgają po czarnych, gładkich ścianach sarkofagów, po polerowanym sklepieniu krypt. A niedaleko za leniwą wodą kanałów ciężkie, żywe bawoły wloczą plugi wzdłuż wilgotnych bruzd. Zaś brudnami półnady fellahowie, którzy podążają za tymi drewnianymi plugami, hieratycznymi swymi gestami, rytmem ciemnych, szczupłych ciał przypominają rzeźbione postacie niewolników najstarszej dynastii.

Tam na ryżnych piaskach, niedaleko schodkowej, prastarej piramidy, wyrzeźbione postacie idą po ścianach grobowca Ti. Obciążone owocami ziem, stosami jarzyn i owoców, ptactwem i zwierzną kroczą sztywno wkolo opustoszałej pośmiertnej komory. A ich czerwone ciała, kształt zwierząt i ptaków, wozów i łodzi powtarza się wiernie na pobliskich polach, w znoju dzisiejszej pracy.

Na mokrych łąkach brodzą długonogie ptaki. Obok domostw ulepionych z mulu nilowego, gliny i chrustu, stęka przy pompie do nawadniania wielbłąd o oczach przewiązanych brudną szmatką. Kanałami płyną łodzie o lekkich pochylonych naprzód masztach — *dahabije*. Fellahowie mają spojrzenia ciemne, spokojne i gluche...

Od wielu tysięcy lat pracują tak w nędzy, bez zmian, na granicy rudej spieklej pustyni i zamulonej żyznej delty Nilu, z której gruntu strzelają w niebo lodygi i zapachy najpiękniejszych roślin.

Cóż dziwnego, że znają dwa bieguny ludzkich spraw, gorzkie tajemnice życia? Nie buntują się, nie walczą, nie pragną. Obok piramid i meczetów, obok wspaniałych pałaców bogatych egipskich effendich żyją od wieków w swych glinianych lepiankach. Równie obojętnie patrzą na tumany żrącego piachu nad pustynią, na życiodajne i śmiertelne wylewy rzeki, jak na lasy fig, bananów i daktyli, oleandrów i róż, kwitnące drzewa, różnobarwne przepyszne kwiaty, gaje i ogrody pachnące w ciepłej wilgoci, w ramionach delty Nilu.

Włosi zdobyli Abisynię. W Palestynie wybuchł bunt arabski. Umarł stary król. Zamiast przedwiecznych egipskich i rzymskich wozów pędzą w stronę piramid auta, pełne turystów.

## JÓZEF GOLABEK: KULTURA WSI I MIAST

(SPOSTRZEŻENIA PODRÓŻNIKA)

Ile razy jestem za granicą, tyle razy narzuca mi się zestawienie naszego kraju z obcym, tyle razy dostrzegam się coś, co by się chciało widzieć w ojczyźnie naszej, tak biednej z wyglądu, że czasem aż serce się kraje. Taki oto tworzy się stosunek, ale nigdy nie ma w tym lekceważenia własnej ziemi i nadmiernego chwalenia tego, co za granicą. Od razu przecież przychodzi na myśl warunki, w jakich Polska, zniszczona zupełnie przez wojnę, musi się rozwijać i rozbudowywać. Są jednak pewne sprawy, na które wpływ ma nie państwo, lecz dobrze zorganizowane społeczeństwo, które bez specjalnego wysiłku, z własnej ochoty mogłoby poprawić to i owo.

Tak się złożyło, iż miałem możność przejechać całe Niemcy wzdłuż i wszerz, zwiędzić szesnaście miast, przeważnie półmilionowych (są większe i mniejsze), być na wsi w Niemczech i patrzeć na urządzenia komunikacyjne wszelkiego rodzaju. Ten potężny obraz pozwolił mi, może nawet zbyt powierzchownie, wytworzyć sobie pojęcie o kulturze niemieckich wsi i miast, a co ważniejsze, zrobić zestawienie z naszą w tym względzie kulturą.

Więsz nasza przedstawia przeważnie straszny obraz, trzecha jeszcze dziesiątek lat, by nabrała jakiej takiej kultury. Poziom jej zależy całkowicie od mieszkańców. Więsz niemiecka jest murowana, budownictwo drewniane należy już do przeszłości; robi zatem wrażenie schludnego miasteczka. W każdej niemal wsi jest elektryczność, wiele z nich posiada wodociągi gminne, a i telefon nie jest rzadkością. Każdy dom ma własny rower, którego użycie jest możliwe dzięki doskonałym szosom. Na rowerze jedzie się do miasta, jak również do kościoła, przy czym korzystają z niego tak kobiety jak mężczyźni. Myślę, że u nas widok odświętnie ubranej kobiety wiejskiej, jadącej na rowerze do

kościół, stanowiłby całkiem wesołą atrakcją, chociaż we Francji widywałem kishy w sutannach, korzystających z roweru.

Domy mieszkalne jak również zabudowania gospodarcze odznaczają się nadzwyczajną schludnością, zagrody są otoczone murem lub gdzie indziej ogrody z drzewami owocowymi są oddzielone od zabudowań pięknymi żywopłotami.

Nasza wieś ma zgoła inny obraz. Domy dziwnie kapryśnie pobudowane, przed domem rzadko znaleźć ogródek, a przecież posiadanie kwiatów ani nie jest zbyt kosztowne, ani zbyt uciążliwe. Na podwórku wiejskim, wyhoistym i brudnym, dominuje dół z nawozem, z którego cienką stróżką odpływa gnójówka w nieokreślonym kierunku.

Przed kilku laty zrobił gen. Sławoj-Składkowski, jako minister spraw wewnętrznych, wysiłek w celu podniesienia kultury wsi naszej, ale jego zarządzenia wcale kwestii jej czystości nie rozwiązały. Niewątpliwie nakaz ma zawsze swoje znaczenie, ale i praca oświatowa, prowadzona przez starostwa, mogłaby mieć bardzo dużo do osiągnięcia.

Najważniejszą rzeczą jest schludność zabudowań, ważniejszy dom mieszkalny, ogród z kwiatami pięknie ogrodzony, podwórko wiejskie, wygodny chodnik do chaty, podłoga w sieni i dobrze utrzymana droga wiejska. To wszystko wymaga niewielkiego nakładu pracy i czasu, który ma w ciągu roku do rozporządzenia każdy gospodarz i każda gospodyni.

Miasto niemieckie odznacza się nadzwyczajną czystością, przy czym wszędzie widoczna jest dbałość o to, by wewnątrz niego znajdowało się możliwie jak najwięcej parków, ogrodów i kwietników. W tym względzie mogą posłużyć za wzór: Hamburg, Düsseldorf, a przede wszystkim Dreźnie, prawdziwe miasto ogrodów, tam bowiem nawet przed

fabrykami rozciągają się ogrody z barwnymi kwiatami. W tym kierunku dobra wola rządów miast i obywateli może zdziałać wiele, jak to się stało niedawno w Warszawie. To też stolica nasza przybrała od zewnątrz piękny, żywy wygląd, ale równocześnie nadzarpano jedyny w środku miasta ogród Sasaki na rzecz niby koniecznej ulicy. Trzeba dodać, że rozpoczęta przez p. prezydenta Starzyńskiego praca nad podniesieniem kultury stolicy nie może ustać, musi teraz zacząć się od wewnątrz, od zbadania podwórek, od ścisłej kontroli klatek schodowych, ciemnych, cuchnących, nie mytych i nie zamiatanych. Takie domy, obszarpane i smutne od zewnątrz, przerażające brudem od wewnątrz, spotykamy i w centrum stolicy, a co dopiero, gdy chodzi o przedmieścia lub całą partię nalewowską?

W Berlinie zaniepokoiła mnie cisza na ulicach, toż samo w innych miastach, a najbardziej hałaśliwym miastem okazało się Dreźnie. Ten niepokojący spokój zmusił mnie do szukania powodu i zastanowienia się, dlaczego Warszawa jest tak przerażająco hałaśliwym miastem. Odpowiedziałem sobie, że może zbyt wiele pisze się o tym hałasie, może zanadto dużo robi się w tym względzie studiów, a mało pracuje się nad tym, by zapobiec hałasowi. Auta w miastach niemieckich suną w najzupelniejszej ciszy, nie trąbią dla fantazji, autobusy nie posiadają przeraźliwie wyjących syren, w czym celują nasze stołeczne autobusy, na ulicy nie spotyka się przygodnych kupców, zachwalających przeraźliwym krzykiem swój towar (oby p. prezydent znalazł sposób na zniszczenie w stolicy tych doprowadzających do szalu a rozlegających się od wczesnego rana okrzyków, grzeszących przeciw poprawności językowej: do pomidory, do ogórki, do cytryny!). A głównie i przede wszystkim nie ma tam tych hałaśliwych, wrzeszczących co kilka kroków w samo ucho gaziarzy, podbiegających pod nogi i zwiatających u tramwajów (w Krakowie gaziarze zalecają towar delikatnym półgłosem, w Warszawie ryczą, wypluwając z siebie polowę

swych płuc); wreszcie nie ma przygodnych gnomów ulicznych, schowanych, zaczepnych, a dokuczliwych, jak owi (głównie Krakowskie Przedmieście) stojący co pięć kroków wpoprzek ulicy fotografowie na poczekaniu, zwykłe aragancy, owi handlarze przemycanych zapalniczek, owi impertynency sprzedawcy jedwabnych krawatów, owi przekupnie wiecznych piór, owi fikcyjni studenci z pocztówkami, owe dziewczyny uliczne, przeklinające się głośno, owi tragiczni żebracy i t. d. W Niemczech raz tylko w Mannheimie zaczęli mnie jakiś bezrobotny, który się dziwnie szybko ulotnił.

Oczywista, że w Niemczech harmonii domów miejskich nigdzie nie nie szpeci. Nie znajdziemy przeto na ulicach pryncypalnych domków parterowych, nie są one konserwowane. Cóżby Warszawa dała za to, gdyby nagle została pozbawiona takich domeczków, sterczących dumnie i urągłwie na Nowym Świecie i na Marszałkowskiej!

Marzeniem każdego Polaka jest, by stolica jego państwa (dwudziesta na świecie, a siódma w Europie pod względem ilości obywateli — to jest coś) miała jak najpiękniejszy wygląd, toteż bez goryczy i bez wyrzutu, lecz ze szczerzej miłości do Warszawy trzeba powiedzieć, że zanadto nieraz dużo robimy reklamy, zanadto wiele wydajemy zarządzeń, ale nie przeciwdziałamy. Nie umiemy zaradzić wskakiwaniu i wyskakowaniu z tramwajów w biegu, ktoś obcy mógłby nawet wywnioskować, iż starannie pielęgnujemy nieuprawiany gdzie indziej rodzaj sportu, tymczasem w każdym miesiącu niemieckim konduktor zasuwa drzwi lub opuszcza kratowane drzwiczki, przez co w chwili jazdy utrudnia dostęp do tramwaju: kto zaś samowolnie otwiera drzwi, płaci 2 mk. kary. Zapobiega się więc wypadkom. Przed kilku laty puszczono w stolicy naszej tytułem próby tramwaj z automatycznie zamykającymi się z huku drzwiami. Pisano sporo o znakomości tego wynalazku, tymczasem w wielu miastach niemieckich kursują tego rodzaju tramwaje i nikt się tam nie dziwi. Ów próbny tramwaj-widmo



To wszystko jest obojętne, obce, w naszym życiu. Bo życie ma swoje prymitywne, pół dzikie prawa, prawa narodzić i śmierci, pracy, kwitnienia, przemijania...

Dragoman w fioletowej faldzistej galabii położył swą drapieżną ciemną dłoń na marmurze nagrobka. Arabeski były barwne i misterne. Wokół kopuły grobowca Mameluków stały szeregi białych tablic, widniały nad nimi rzeźbione tarbuse, kobiece girlandy ślubne, fantastyczne zawoje. Przewodnik powtarzał wyczoną lekcję:

— Pasza... Stryj królewski. Ładny grób. Kosztował 50 tysięcy funtów. W Kairze dużo ładnych grobów. W każdym meczecie grób. Ładny grób króla Fuada, dobrego króla Fuada...

Belkotal coraz niewyraźniej. Nagle białka mu zaintrygowała pod brązowymi powiekami. W twarzy ożywionej chytrością i pochlebstwem objawiły się źrenice obce, straszliwie obojętne, tragiczne oczy bogów i — pariasów.

— Czy lady była już w muzeum? Widziała skarbcę Tut Ank Amona? Klejnoty, naszyjniki, kamienie, złoto? Tyle bogactw, tyle bogactw, taki młody...

Kiwnęłam głową. Tak, widziałam zawartość skarbcza Tut Ank Amona i pozłociasty profil jego chłopcęcej maski. Cóż z tego, że umarł, otruty, prawie dzieckiem, przed 3500 laty?

Ziarna roślin, przechowane w jego grobie kwitną i dziś na polach, nad Nilem.

A słonecznymi ulicami Kairu przejeżdża właśnie w asyście ministrów nowy młodziutki król Egiptu — Faruk.

## SPRAWY SŁOWACKIE

Nagrody literackie — Kongres literatów — Stowarzyszenie św. Wojciecha — Polonica — Nieco o piśmiennictwie słowackim.

Obok kongresu słowackich literatów najważniejszym wydarzeniem w życiu kulturalnym Słowacji było udzielenie nagród siedmiu pisarzom i artystom z t. zw. Funduszu Nagród im. Szeffanika, który został ustanowiony przez władze samorządu ziemskiego Słowacji dla uczczenia pamięci tragicznie zmarłego współtwórcy niepodległości czechosłowackiej, generała M. R. Szeffanika. Od roku 1932 rozdziela się pięć nagród za wybitne prace z dziedziny literatury i sztuki. Odznaczenia nie tylko są honorowe, bowiem odznaczani otrzymują zarazem zasiłki pieniężne. Po raz pierwszy nagrodzeni byli w 1933 r. Janko Jesensky za tom poezji *Po burkach*, J. C. Hronsky za powieść *Chlieb*, Milo Urban za *Hmly na usvite*, K. Czulen za rozprawę literacko-histeryczną *Lata słowackich nadziei i zawodów*, zaś malarz M. Galanda za grafikę. W roku 1934

nagrodzeni zostali: entuzjastyczny wielbiciel kultury polskiej i zasłużony tłumacz naszej liryki Andrej Zarnov za wiersze *Ilas krvi*, ceniony poeta i głośny przywódca ewangelickich autonomistów Martin Razu za reportaż *Marosko*, Emil Stodola za wspomnienia *Prelom*, J. Gregor-Tajovsky za dramat *Bluznivci*, a za grafikę odznaczono K. Jaronia. W roku zeszłym z racji rozgorzałej walki między poszczególnymi grupami literacko-artystycznymi wogóle nagród nie rozdzielano.

W r. b. więc po raz trzeci zostały rozdzielone nagrody. W sędzi konkursowym zasiadali: jako przedstawiciel literatury dr. Janko Jesensky, jako przedstawiciel sztuk plastycznych dr. Vlado Wagner, a świat muzyczny reprezentował Frico Kafenda. Jakkolwiek wysoki autorytet tych trzech najwybitniejszych luminarzy kultury słowackiej nie wzbudził w żadnym ugrupowaniu wyraźnej opozycji, niemniej tu i owdzie odzywały się głosy za rozszerzeniem jury Nagród Szeffanikowskich. Dla nas bacznych obserwatorów i życzliwych czytelników literatury słowackiej nie jest obojętnym nagradzanie wybitnych pisarzy, bo stanowi to zarazem klasyfikowanie najwybitniejszych. Młode piśmiennictwo słowackie jest w Polsce zupełnie nie znane. Niechże więc ta informacja dla wielu stanowi busolę orientacyjną.

Pierwszą nagrodę w r. b. z Funduszu Szeffanika w dziedzinie poezji otrzymał zasłużony redaktor słowackiego miesięcznika literackiego *Elan*, wydawanego w Pradze, Janko Cietek-Smrek. Należy on do młodszych kadr słowackiej literatury t. zw. trzeciej generacji, ale nie do najmłodszych, których publicyści polemicznego miesięcznika *Pero* zowią już „czwartą generacją pisarską wolnej Słowacji”. Janko Smrek jest z zawodu literatem i dziennikarzem. Urodził się w 1898 r. w Ziemianim Lieskowie. Po ukończeniu szkół średnich miał zostać księdzem, ale życie inaczej pokierowało jego krokami. Wnet po przewrocie w 1918 r. zostaje redaktorem *Slovenskiego Dennika*, później *Narodnych Novin* — czołowego organu narodowców-ewangelików, a wreszcie przechodzi do wydawnictwa Leopolda Mazaca w Pradze, gdzie redaguje założony przez siebie a stojący na wysokim poziomie literackim miesięcznik *Elan*. Obok Emila Bolesława Lukacza, poety-symbolisty, pastora ewangelickiego (ur. 1900) i Milo Urbana, realistycznego heletystry (ur. 1902) poeta Janko Smrek jest rzeczywiście czołowym poetą młodego pokolenia. Jest on wyjątkowo lubiany w kołach młodzieży literackiej, bowiem zawsze starał się i stara publikować prace najmłodszych, dodając im tym samym impulsu twórczego. Na kartach słowackiej literatury pięknej Smrek zapisał się jako piewca piękna i radości życia i jako urodzony optymist. Nagrodzono Smreka za tom wierszy *Iba occhi*. Utwór ten to radosny

okrzyk dziękczynienia Stworzycielowi za to, że dał każdemu człowiekowi żywe i twórcze oczy, które mogą podziwiać krasę i blask życia. Ale talent poetycki nie jest jedyną przyczyną, dla której Smreka szanuje całe społeczeństwo słowackie. Jan Smrek zasługuje się swemu narodowi jako propagator, organizator i popularyzator rodzimego piśmiennictwa. Jest bezwarunkowo najszerszym pionierem książki słowackiej. Tak bardzo jest na swoim miejscu ten słowacki witalista i radośnik życia w roli redaktora pisma informującego o piśmiennictwie słowackim, że uważają go za doskonałego organizatora wydawniczego. Jest on poniekąd przeciwnikiem melancholijnego i rozręskanego smutnie Lukacza.

Drugim nagrodzonym był Józef Brancek, prowincjał o. o. Pijarów i katolicki powieściopisarz. Zwrócił na siebie uwagę doskonałą powieścią dla młodzieży p. t. *Skarby Mateusza Czaka*, która dla swych zalet: historycznej wierności, interesującej fabuły, żywego stylu i przepięknego języka spotkała się z entuzjastyczną oceną krytyki zarówno słowackiej jak i czeskiej. O. Brancek należy do starszego pokolenia pisarzy słowackich i za najlepszą jego książkę należy uważać powieść historyczną *Frater Johannes*, za którą na konkursie Słowaka otrzymał pierwszą nagrodę. Z powodu wyczerpania wydania tej książki u św. Wojciecha jeszcze w r. b. ukaże się staraniem Słowackiej Ligi nowe jej wydanie. Zapowiedziany jest również polski przekład tej powieści. Z innych książek Branceckiego wymienimy dwa tomy szkiców historycznych i artykułów pt. *Kiedy runy ożyją...*, *Skalka, Trenczyn*, trytomowe *Zo starého Trenczyna* i wielką liczbę drobniejszych szkiców rozsypanych w czasopiśmie. Brancek przypomina naszego Kraszewskiego. Urodzony 31 marca 1882 roku w Węgierskiej Skalicy, po skończeniu szkół w Skalicy, a później w Lewoczy odbył nowicjat w zakonie Pijarów, a maturę uzyskał w Kecskeméte. Na studia wyższe udał się do Budapesztu, gdzie skończył uniwersytet. Początkowo był katechetą, lecz po dziesięciu latach (1917) został rektorem uczelni w Trenczynie, a wnet po przewrocie w 1918 r. wykładał nawet w państwowej akademii handlowej w Trenczynie. Od 1934 roku jest prowincjałem o. o. Pijarów.

Nagroda muzyczna przypadła w udziale młodemu kompozytorowi słowackiemu Aleksandrowi Moyzesowi, którego nie należy mieszać z profesorem Mikołajem Moyzesem, ur. w 1872 r., autorem dwóch kwartetów, suit, symfonii *Nox et solitudo* i szeregu ballad. Aleksander Moyzes ma ledwie trzydzieści lat. Jest uczniem czeskiego kompozytora Witosława Novaka i wychowankiem praskiego konserwatorium. Urodzony w Klastorze pod Znievem nauki gimnazjalne odebrał w Preszowie, gdzie jego ojciec, wspomniany już Mikołaj, był profesorem w seminarium nauczycielskim. Młodziutki Aleksan-

der już od wczesnej młodości przejawiał uzdolnienia muzyczne. W praskim konserwatorium kształcił się u prof. Wiedermana w klasie organowej, a teorię muzyki studiował pod kierunkiem prof. Karola Szina. Najwięcej zawdzięcza Moyzesowi Novakowi. Od r. 1928 Moyzes zostaje profesorem konserwatorium w Bratysławie. Jego twórczość kompozytorska jest przebogata. Obejmuje już 35 opusów. Największy rozgłos zdobyły sobie na Słowacji jego ilustracje muzyczne do słuchowisk radiowych. Znałe są dwie symfonie, jazzowa suita, pieśni, marsze itp. Nagrodę otrzymał za kwintet op. 17, który był wykonywany na Międzynarodowym Festiwalu Muzycznym w Pradze Czeskiej. Grano go też wiele razy za granicą.

Bez entuzjazmu natomiast przyjęła opinia słowacka nagrodzenie powieściopisarza Aleksandra Pockody. Urodził się 21 sierpnia 1906 r. w Małym Rabie. Po skończeniu szkoły średniej w Nitrze a rolniczej w Komarnie wstąpił do zakonu o. o. Franciszkanów. Pracował początkowo w Lidze Słowackiej, ale od r. 1935 jest urzędnikiem kartelu zbożowego. W młodości wydał trzy tomiki wierszy: *Kniha jednukich dni*, *Podkova* i *Slavnost*. Nagrodę otrzymał za powieść *Zmartwychwstanie Jana Kasalu*. Opisuje w niej dzieje Słowaka, który na wojnie światowej jako żołnierz węgierski dostał się do niewoli rosyjskiej i po powrocie do kraju zostaje swą żoną uwiedzioną przez Rosjanina-jeńca węgierskiego. Podobnie bez specjalnego rozgłosu przyjęto wiadomość o nagrodzeniu wydawcy Zdenka Hruzieki, dyrektora księgarni Univerum w Bratysławie. Natomiast z pochwałami pisano o art.-mal. Ludwiku Fullu (1902), którego obraz *Krajinka z Donoval* zdobył sobie wielkie uznanie na wystawie w Barcelonie, o nagrodzeniu inż. Stefana Janszaka z powodu jego wartościowego dzieła *Zywot Stefana Fajora* i o nagrodzeniu art. dramat. z Bratysławy Andrzeja Bogara, który się zasłużył działalnością reżyserską i filmową.

Poza funduszem nagród literackich im. Szeffanika celem wzmoczenia twórczości literackiej, muzycznej i artystycznej bardzo wiele instytucji i samorządów na czele z Macierzą Słowacką wciąż urządza konkursy z nagrodami. Świadczy to wybitnie o nadzwyczajnej ruchliwości twórczej narodu słowackiego, który nadludzkim wysiłkiem pragnie wyrównać wielkie braki powstałe podczas niemal tysiącletniej niewoli politycznej.

Do doskonałą zapowiedzią przyszłych sukcesów słowackich na polu literatury był kongres literatów słowackich w Trenczynie Cieplicach, którego wyniki zadziwiły nawet zatwardziałych pesymistów, zgorzkniałych urzędników i przekornych malkontentów. Dla tego, kto zna życie literackie Słowacji, było doprawdy niespodzianką, że literaci słowaccy, tak zawsze skłóceni, skrajnie indywiduałiści, różniczkowani przekonani-

kursuje dalej, samotny i osowiały, jeden jedyny, i nie wiadomo, jak właściwie próba po kilku latach próbowania wypadła, bo poza tym wszystko idzie po staremu i ludzie wskutek własnej lekkomyślności łamią karki. Są gdzieś niedziedzi tramwaje ze stoliczkami przy oknach, są również takie, że obok skrzynki na śmieci jest również skrzynka pocztowa, co naprawdę jest niemalym udogodnieniem.

Nie znam naszej organizacji turystycznej w miastach, muszę jednak przyznać, że w tym względzie są w miastach niemieckich bardzo dobre udogodnienia. W oznaczonych godzinach stoją zwykle przed dworcem kolejowym, stanowiącym punkt wyjścia dla poznania miasta, autobusy okrężne. Za niską stosunkowo cenę, przeciętnie pięciu zł., otrzymuje się miejsce i dzięki przeważnie inteligentnym przewodnikom ma się możliwość w ciągu dwóch godzin dokładnego zaznajomienia się z miastem. Taka podróż okrężna ułatwia i przyspiesza zapoznanie się z miastem, w którym następnie można się z planem w ręce orientować doskonale i zwiędzać to, co kogo interesuje. Na każdym kroku widoczna jest troska o podróżnika (turyście), to też na każdym dworcu istnieje biuro t. zw. *Fremdenauskunft* czyli informacja dla turystów, a po polsku wywiad dla podróżników, gdzie otrzymuje się bezpłatnie lub za opłatą dziesięciu fenigów dokładny plan miasta razem z opisem, względnie szczegółowym, co jest godnym zobaczenia. Użykuje się przy tym dodatkowe ustne wyjaśnienia, a w dalszym ciągu zwiędzanie miasta ułatwiają chętni wskazówki uprzejmi policjanci lub chętni przewodnicy. Prócz tego w każdym niemal hotelu można otrzymać plan miasta, jak również od portiera wskazówki, ogółem rzetelne i inteligentne, co należy zwiędzić.

Sądzić można, że niektóre nasze miasta, a zwłaszcza Kraków, który pod względem zażytków z przeszłości chyba Norymberdze tylko musiałby spośród wszystkich miast niemieckich ustąpić pierwszeństwa, mogłyby z pożytkiem choćby tylko w okresie wzmoczonego ruchu turystycznego, szczególnie dziś, gdy cała Polska dąży do przepięknej dawnej sto-

licy, zorganizować tego rodzaju udogodnienia turystyczne, w które przy wyższej opłacie mogłyby też wejść odwiedzanie Sowińca.

Pozostaje jeszcze omówienie ruchu kolejowego. Ież to już nadzwyczajnych, rewelacyjnych wprost artykułów napisano na temat budującego się dworca warszawskiego, ież to porobiono obietnic, że przez tunel warszawski nie będą chodziły dymiące lokomotywy. Czekamy, czekamy, a tymczasem żyjemy obietnicą, że dworzec będzie doskonały, imponujący, wspaniały, dogodny, — więc czekajmy. Trzeba przyznać, że dworce niemieckie przeważnie dobrze harmonizują z architekturą miasta, widoczna jest zatem dążność do nadania im pewnego piękna architektonicznego, ale wewnątrz są bardzo niepraktyczne, duszne, zadymione, bez należytej wentylacji np. największy w Niemczech dworzec w Lipsku.

Bezsprzecznie nasze wagony, może cokolwiek przyciasne, wytrzymują porównanie z niemieckimi wagonami, należą więc do najlepszych w Europie, ale dla ruchu pasażerskiego mogłyby być wprowadzone pewne udogodnienia. Plagą dla pasażerów są powracający ze służby kolejarze, zwyczajnie zabrudzeni i rozespani; nie mają, jak to jest w Niemczech, oddzielnych, wyłącznie dla siebie, przedziałów, lecz zajmują miejsca w przedziałach dla pasażerów, którzy wskutek tego muszą stać niejednokrotnie w korytarzach. Drobne zarządzenie i nie przynoszące straty usunie to niedogodnienie.

Należy przyznać, że pomimo niemieckich przechwałek, w naszych wagonach panuje większa czystość, którą za wszelką cenę, pomimo pewnego gatunku niechlujnych, obszarpanych pasażerów, należy nadal utrzymać. W naszych wagonach nie aypie się na podłogę popiołu z cygar, jak to jest w Niemczech, i wogóle nie rzuca się niedopalków, chociaż w wagonach niemieckich są obszerniejsze i wygodniejsze popielniczki.

Nie zauważyłem też, by przestrzegano rygorystycznie niepalenia w przedziałach dla niepalących, i sam niejednokrotnie szedłem za złym przykładem.

Ale co do ruchu kolejowego zachodzi pewna obawa. Do niedawna słusznie całkiem chlubiliśmy się niezrównaną punktualnością i doskonałością jazdy naszych pociągów, w czym nie mogła nam dorównać Europa. Nie mamy co prawda opóźnień, w Niemczech nie punktualność (nieznaczna wprawdzie, 5 — 15 minut) dostrzegłem wielokrotnie, ale nośność naszych pociągów i ich szybkość pozyna psuć się powoli w porównaniu z pociągami niemieckimi, które w tym względzie dochodzą od kilku lat do coraz większej doskonałości. Pewne zastrzeżenia budziły też zewnętrzny wygląd naszych konduktorów, ich na ogół liche umundurowanie (przecież policja nasza może być przykładem pod względem elegancji zewnętrznej, której się nie dostrzega w Niemczech powojennych), a zwłaszcza ich wyszarpane i wygniecione czapy, natomiast uprzejmość i chęć informowania pasażerów, delikatność w obcowaniu z nimi zasługuje na wielką pochwałę.

Pisze się bardzo dużo, aż za dużo, o motoryzacji na naszych kolejach. W tym względzie jesteśmy bardzo zacofani; w Niemczech pociągi podmiejskie są przeważnie motorowe, a cała Bawaria korzysta z prądu elektrycznego, dzięki czemu w pociągach panuje duża wygoda, nie wpada bowiem do wagonów uprzykrzony dym z lokomotywy. Wozem kolejowym rozwinął się ruch automobilowy, to też szosy w całych Niemczech, z wyjątkiem może Bawarii, muszą budzić podziw. Ostatnim etapem mojej długiej podróży, ale już w Polsce, był Nowy Targ — i tu właśnie, w tej stolicy Podhala przekonałem się, jaką plagą jest droga nie przystosowana do ruchu automobilowego. Droga, prowadząca z dworca do miasta, piękła auta i podnoszą tak straszne tumany białego kurzu, że od razu całe miasto pokrywa się mgłą, że ma się wrażenie, iż nagle wybuchł pożar. Miasto zapewne nie posiada heczek do polewania ulic, choć wody nie brak, a może i dobrej woli miejskich notabłów. Lecz taki stan rzeczy znajdziemy i pod Warszawą, która może się tym pochlubić, że nie ma dostępu, godnego stolicy, do żadnego prawie podstolecznego

letniska, że hoduje pod swoim bokiem tak skandaliczne miasteczko jak Okuniewo (w nieznannej odległości od Sulejówka), że nawet w centrum miasta posiada tak rozpaczliwe bruki, iż zachodzi obawa, że pod tym względem pozostanie znacznie w tyle od innych miast, np. od Krakowa, a Poznań już ją wyprzedził. Inna rzecz, że widoczna jest w stolicy dbałość o czystość ulic, że kosze na odpadki przy słupkach spotyka się częściej niż w miastach niemieckich, że są one przy tym bardziej estetyczne. Ale wszelkiego rodzaju kwietniki, nawet na przedmieściach, wypadają otoczyć inaczej — nie drutami przyrębowanymi do drewnianych, prymitywnych słupów. To jednak bardzo razi.

Wreszcie trudno pominąć milczeniem stosunek miast do rzek. Hamburg zbudował najbardziej uroczą część miasta nad Elbą, Düsseldorf obrócił się całkowicie do Renu, podobnie jak Kolonia, Frankfurt do Menu, Norymberga zużytkowała małą Pegnię, by sobie pobudować partie weneckie. Dreźnie obsypuje brzegi Elby wspaniałymi kwietnikami. Każda z tych rzek jest uchwycona w karne, obmurowane koryto, każda więc ma wygląd miły, sympatyczny, nad każdą wygodne bulwary, pełne zwykle w godzinach przedwieczornych. W stolicy naszej prawy brzeg królowej polskiej rzeki reguluje się przez wysypywanie śmieci z całego miasta, a ozdobą tegoż brzegu jest kilka nędznych domków wiślanych piaskarzy.

Tych kilka gorzkich uwag rzuciło się nie dlatego, by ganić to, co nasze, lecz pod wpływem bolesnej rzeczywistości, z chęci i gorącego pragnienia, by zaprzestano pisać o naszym barbarzyństwie, by cudzoziemiec, przybywający do Warszawy, nie uśmiechał się z politowaniem, gdy się znajdzie w drewnianych barakach dworca kolejowego, z którego go płoszy przeraźliwie monotonne zapowiadanie przez megafon czasu odjazdu i przyjazdu pociągów, i aby nie uśmiechał się pogardliwie na widok odrapanego zamku królewskiego.



niowo, będą mogli znaleźć wspólny język i wspólną platformę.

A jednak porozumieli się. Bez przesady można powiedzieć, że ostatni rok w literaturze słowackiej upłynął pod znakiem kongresu a ogrom artykułów i polemik w sprawie zadań kongresu bodaj dziesięciokrotnie przerasta materiał referatowy. Referaty i stenografowy przebieg dyskusyj zostały opublikowane przez *Slovenské Smery* i Związek Literatów Słowackich t. zw. S. S. S. (Spolok slovenských spisovateľov). Wystawiają one chlubne świadectwo młodzieńczej a tak już zabiegliwej organizacyjnie literaturze słowackiej. Otwarcia kongresu dokonał świetny pisarz i prezes związku literatów słowackich dr. Jan Jesenský, nawołując pisarzy do przestrzegania czystości językowej i pisania przede wszystkim dla ludu. Z przemówień gości zasługują na wzmiankowanie powitania: literata czeskiego Piotra Krziczki w imieniu ministra oświaty, prof. Važného w imieniu uniwersytetu hratyślawskiego i Stowarzyszenia Naukowego im. Szafarżika oraz Ilii Erenburga w imieniu międzynarodówki literackiej. Zśród pisarzy czeskich duże zainteresowanie wzbudziły przemówienia prof. Hanusa Jelinka, znanego socjalisty S. K. Neumanna, powieściopisarki M. Tilschowej i Józefa Hory.

Najdobitniej formułował na kongresie postulat niezależności kultury i literatury słowackiej dr. Clementis słowami, że jest niewłaściwą rzeczą tłumaczyć zjawiska literatury słowackiej wpływami czeskimi. Jeżeli zaś chodzi o wpływy światowe, to ujawniają się one zarówno w czeskiej jak i w słowackiej literaturze. Słowacka literatura pragnie być częścią składową literatury światowej, ale nie czeskiej literatury. To jest postulat, z którym krytycy literaccy odtąd będą musieli się liczyć. Z tego stanowiska należy uznać za niewłaściwe nawet przedstawienie łączne i porównawcze obrazów piśmiennictwa czeskiego i słowackiego, a to tym bardziej, że nawet sami Czesi posiadają już wiele odrębnych publikacji, traktujących wyłącznie o literaturze słowackiej. Redaktor *Slovenských Pohľadov* najpoważniejszego pisma literackiego, organu Macierzy Słowackiej, dr. Andrzej Mráz, w sprawie ustosunkowania się wzajemnego literatury słowackiej i czeskiej tak się wypowiedział: „Dla nas Słowaków — jest wartościowe, co mówią i co tworzą szczyty kulturalne Czech, wyjątkowe zjawiska w literaturze czeskiej, jak F. X. Szalda, Mukarovsky, Karol Czapka, Hora, Nezval, a nie pierwsi lepsi kulturträgerzy, pouczający naród na szpaltach dzienników za honorarium od wiersza. Potrzebujemy Mukarowskiego a nie Józefa Dvorzaka. Tacy „gorliwcy” w niczym nam nie pomogą. Zbliżenie szczytów jest pożądane. Dlatego zbliżyć się chcemy ku prawdziwej literaturze a nie ku odpadkom”. Wystąpienie dr. Mráza było komentowane szeroko w prasie a *Slovak* ks. Hlinki omówił tę deklarację nawet w artykule wstępnym.

Dla nas obserwatorów zewnętrznych dwie prawdy w wyniku odbytego kongresu są jasne. Po pierwsze w ostatecznej rezolucji kongres aż dwukrotnie w sposób manifestacyjny podnosił istnienie odrębnego narodu słowackiego, a po drugie — w żadnej z uchwał pisarzy słowaccy nie nazwali się... Czechosłowakami, a stało się to, dodajmy, przy stosunkowo mizernym udziale w kongresie autonomistycznych i katolickich literatów.

Ogółem w kongresie wzięło udział przeszło 130 literatów. Jako goście pojawili się również Węgrzy: Vozári Dezső i Györi Dezső, i Rusin z Podkarpacia Horniak. Żle się tylko stało, że delegatów naszych organizacji literackich nie było i nikt z Polski nie nadesłał nawet depechy. Prezydium honorowe kongresu stanowili: dr. J. Jesenský, J. Gregor-Tajovsky i dr. inż. Jan Botto, piszący jako modernista-liryk pod pseudonimem Ivana Kraski.

Przyglądając się kulturalnemu życiu Słowaków, musimy tylko wyrazić podziw dla niezwyklej tężyzny i energii organizacyjnej tego pobratymczego narodu. Watra kultury słowackiej płonie dziś coraz większym ogniem. Widzimy ją i w Polsce mimo Tatr strzeliste.

Czym jest Macierz Szkolna Słowacka, właściwie zwana Macierzą Słowacką (*Matice Slovenska*), organizowana w kulturalnym środowisku ewangelickim, Turczańskim Św. Marcina, dla całego narodu słowackiego, tym dla katolików słowackich jest Spolok sv. Vojtecha. Rok obrachunkowy w tym stowarzyszeniu trwa od 1 lipca do 30 czerwca roku przyszłego. Działalność, jaką to stowarzyszenie rozwija, zasługuje w zupełności na omówienie. Związek ten liczy w kraju 90.092 członków, a za granicą 12.188 członków. Istnieje już 66 lat. Siedzibę swoją posiada w Trnawie, gdzie w trzech wielkich budynkach mieści swoje biura, zakłady graficzne i muzeum kulturalno-historyczne. Miarą doskonałości jego techniki organizacyjno-wydawniczej może być fakt, że związek św. Wojciecha za 5 koron składki członkowskiej przesyła każdemu z członków

corocznie trzy książki, których wytworzenie stanowiło przerażającą wysokość składki. Jak to czyni — jest jego tajemnicą, bowiem subwencji rządowych nie dostaje.

O sprawach polskich pisze się w prasie słowackiej bardzo wiele. Narodowa i katolicka prasa słowacka jest bez zastrzeżeń polonofilska, chociaż pewne wystąpienia niedostatecznie przemyślane z naszej strony wyrządzają wiele szkód. Formalnie burzę rozpętała w tutejszej prasie irredentystyczna książka hr. Włodzimierza Bema de Cosban p. t. *Polsko-węgierska granica*. Autonomistyczny dziennik *Narodnie Noviny* zamieścił w tej sprawie cały cykl artykułów pióra Alex. S. Pakana, który punkt po punkcie obalił wszystkie twierdzenia autora w odniesieniu powrotu Słowaków do stanu sprzed wojny światowej i podkreślał szkodliwość takich publikacji dla rozwoju stosunków polsko-słowackich. Należy pamiętać, że inteligencję słowacką żywo obchodzą wszelkie zainteresowania słowackie wśród Polaków; nie żąda ona przesady ani skrajnej gorliwości w udzielaniu informacji o Słowacji i Słowakach, ale jest ogromnie wrażliwa na rozszewnianie tendencyjnych wiadomości... *pour le roi de Prusse*. Słowacy doskonale zdają sobie sprawę z różnic, jakie zachodzą między patriotami polskimi, którzy przyjął się z Węgrami, a ludźmi, którzy świadomie pozostają na usługach polityki panmadrziarskiej. Brak umiarkowania ze strony jednostek niekiedy wyrządza straty ogółowi. Podobny wypadek mamy do zanotowania i po stronie słowackiej. Oto dr. Józef Cieker na marginesie sporu polsko-czechosłowackiego napisał na łamach katolickiego miesięcznika *Kultura* obszerny artykuł „*Rozkydani Slavové*” wymierzony przeciwko Polsce i operujący bez najmniejszego zastanowienia argumentami czeskich szowinistów. Był to na szczęście głos jednostki i przeszedł w prasie słowackiej bez echa.

Zagadnieniem stosunków polsko-słowackich w retrospektywie historycznej zajmuje się od wielu lat docent dr. Władysław Bohák, który drukował w czasopiśmiennictwie słowackim długi szereg studiów na te tematy. Ostatnio znów w słowackim miesięczniku *Prudy* zamieścił paralelę porównawczą na temat szturmowców i filomatów.

Z publikacji książkowych, poświęconych polskiej literaturze, mamy do zanotowania antologię słowacką polskiej poezji współczesnej i dawnej, przełożoną i zestawioną przez Andrzeja Żarnowa a zatytułowaną *U polských básnikov (U polskich poetów)*. Antologia ukazała się jako XL tom biblioteki *Slovenských Pohľadov* i została w r. h. wydana przez Macierz Słowacką w Turczańskim Świętym Marcinie. Niewielka ta broszura liczy zaledwie 62 strony, ale dzięki przystępnej cenie (9 koron) miejmy nadzieję dotrze do najszerszych warstw inteligencji słowackiej. Andrzej Żarnow dał w swej antologii przegląd naszej liryki od romantyzmu aż po dni dzisiejsze (Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Asnyk, Konopnicka, Kasprzowicz, Lange, Przerwa-Tetmajer, Miciński, Staff, Tuwim, Słonimski). Spośród wielu recenzji o tej antologii najlepszy znawca, bo sam tłumacz liryki polskiej, Stanisław Mecciarz ocenił przekłady Żarnowa jako mistrzowskie (*Sl. Pohl.* nr. 4 s. 247). Wspomnieć mimochodem wypada, że ten sam autor bardzo rzetelnie ocenił czeską rozprawę prof. dr. Jana Machala *O symbolismu v polské a ruské literaturze*, wydaną w roku zeszłym przez Instytut Słowiański w Pradze, i dowiódł głębokiej znajomości literatury polskiej (*Sl. Pohl.*, 5, 36, s. 314—6).

Przechodząc do charakterystyki ogólnej słowackiego ruchu wydawniczego za okres miniony, za najważniejsze wydarzenie po czytujemy pojawienie się dwutomowej powieści Marcina Razusa *Krczmarský kral*, w której wiernie odfotografowany został obraz przedwojennego życia wsi słowackiej. Powieść uważana jest za najlepsze dzieło Razusa. Rzeczy smutne są znów tematem dwóch powieści Mateusza Kavca *Kuvik na plote* i *Nezamestnany*. Ta druga powieść jest rzewną historią bezrobotnego. Z okazji debiutu pisarskiego Pockodego, powieści *Zmartywowanie Jana Kasalu*, wielu krytyków podkreślało wpływy i analogie zapożyczone od Milo Urhana (*Zywy bież*) i Stodoly (*Baczoza žena*). Humorem i pogodą życia tchną nowele Jesenskiego, wydane pt. *Zo starych časoch*. Janko Alexy wystąpił z szeregiem obrazków obyczajowych p. t. *Hurra! Zuzka Zgurizka* dał szereg nowel wiejskich p. t. *Ženich s masinou*. Sensacją było wydanie cenniejszych nowel rówieśnika Marcina Kukuczina a dziś niemal zapomnianego Antoniego Bielka p. t. *Za cudze viny (Pre cudzie viny)*. Poza wiernym odmalowaniem zwyczajów ludowych w dziednicy górnorenczyńskiej wartości literackiej utwory te nie mają. Bogata twórczość nowelistyczna Tido J. Gaszpara została pomnożona zbiorkiem refleksyj i wynurzeń, zatytułowanych *V cudzine*. Hruszowsky tym razem wystąpił z powieścią kryminalną p. t. *Dama na ostrove*. Z nowel na wzmiankowanie zasługuje zbiorek Mora *Vrchy v hmlach* o nastrojach socjalistycznych.

Z książek naukowych interesować nas może rozprawa inż. Ivana Houdka *Losy Wysokich Tat*, wydana przez Macierz Słowacką. Autor jej mimo wielokrotnego zastrzeżenia się przeciwko ewentualnym zarzutom polonofobstwa podnosi zarzuty przeciw Polsce, że niesłusznie zabrała Jaworzynę i że Jaworzyna należy do Słowacji. Houdek zarzuty te powtarza już drugi raz, bowiem przed pięciu laty formułował je w publikacji *Vznik hranic Slovenska* (1931, s. 321—3).

W każdym razie sprawy słowackie wymagają z naszej strony bacznej obserwacji i jak najlepszej woli dla celowego pielęgnowania przyjaźni polsko-słowackiej.

LUMIR

## POWIEŚĆ

GUSTAW MORCINEK: *Gołębie na dachu*. Warszawa, 1936, Tow. Wyd. „Rój”.

Dwadzieścia dwa opowiadanka nawleczone na nic wspólnego tematu. Tym tematem są uczniowie szkoły powszechnej w jakimś Skoczowie.

Miejscowość ta jest dla czytelnika „jakimś” Skoczowem tylko tak długo, dopóki nie przeczytał książki Morcinka. Z chwilą gdy to uczynił, Skoczów przestaje być dla niego „jakimś” — nieznanym i dalekim, a staje się bliższym, rodzimym, „naszym” Skoczowem. Wiemy już o nim gdzie się znajduje, wiemy, że ma szkołę powszechną, w tej szkole czujemy się jak w domu i mamy mnóstwo kolegów i koleżanek. Poznajemy ich, żyjemy z nimi, trącemy się łokciami na ławce szkolnej, idziemy wraz z nimi do domów, wnikaemy w ich życie, w ich troski i radości...

Gromada skoczowiek wieś w zatrzymała naszą uwagę, zainteresowały nas całkowicie ich chłopczyńskie i dziewczynskie sprawy, ich życie... Niech się pokłonią panu Morcinkowi i podziękują mu, że to sprawił mocą swego talentu.

Ale i my pokłoniśmy się panu Morcinkowi i podziękujemy mu, że nam dał piękną i pogodną książkę o polskiej szkole powszechnej, o jej nauczycielach i uczniach, książkę tym cenniejszą, że nie jest fantastyczną opowieścią, ale opiera się na rzeczywistości: Skoczów potrafimy wskazać na mapie, w Skoczowie znajdziemy tę właśnie szkołę, a w tej szkole uczeni i nauczycieli, jak ich pan Morcinek właśnie opisał.

W opowiadaniach tych wypływają na wierzch jak oliwa zdrowe, dodatnie cechy młodej społeczności szkolnej: odruchły dobrego serca, koleżeńskości, ofiarności, entuzjazmu i niezalaganego lecz szczerego patriotyzmu. Uczniowie i uczennice skoczowskie to wartościowy materiał na prawdziwych ludzi. I nie ma w tej książce nieznosnego biadolenia na polską rzeczywistość, na niewesoły los polskiego nauczyciela i polskiego ucznia, jest tężyzna i spokojny, rozsądny optymizm.

A optymizm Morcinka nie jest robiony, nie wynika z żadnego „nastawienia”, lecz płynie z głębokiego wewnętrznego przeświadczenia autora, promieniuje z istotnych wartości tego materiału ludzkiego, nad którym pracuje jako nauczyciel i pisarz.

Morcinek nie zatrzymuje się na społeczności szkolnej, ale dzieci, uczniowie to jak gdyby nici, które prowadzą go, a za nim i nas, w głąb wszystkich warstw społeczeństwa i ułatwiają nam poznanie go poprzez rodziców naszych przyjaciół.

Miłą książkę dał nam Morcinek, żalujemy tylko, że zabłąkały się tu także i znacznie mniej udane opowieści, jak o Kurcie Bulli, który tak szpetnie Polskę obraził, i o dwóch nauczycielkach. Te trzy felietoniki nie harmonizują z całością i z pożytkiem dla niej mogłyby nie istnieć.

JANUSZ MEISSNER: *Pierwsze kroki*, Warszawa 1936, Tow. Wyd. „Rój”.

Nie są to pierwsze kroki na niwie literackiej, jak o tym świadczy dość długa lista utworów tegoż autora podana w książce, ale pierwsze jego poczynania w różnych dziedzinach sportu.

Książka zawiera siedem opowiadań o jeździe na nartach, na wolnym halonie, na jachcie, na szybowcu, o tokach głuszców, o week-endzie lotniczym w Niemczech i o lotniczych manewrach.

Nieskomplikowane to opowieści, autor bowiem nie sili się nawet z tematów swoich wykręcać coś więcej ponad dziennikarskie raczej opisy, okraszone tu i ówdzie niewybrednym humorem. Wielka łatwość pogodnego gawędzenia o pospolitych dość przeżyciach sportowych, przeważnie lotniczych, trafia zapewne do gustu licznym rzeszom czytelników nie lubiących wysilać się umysłowo. Do poduszki, do wagonu — i owszem. Zachodzi jednak pytanie, czy warto tak blahe felietoniki, okolicznościowo strzępnięte z pióra, galwanizować w oddzielnym tomie?

Wszakże brak wagi gatunkowej utworu tak-że obciąża hipotekę literacką autora.

PIOTR FREUCHEN: *Eskimos*, powieść, przekład Ireny Łozińskiej. Instytut wydawniczy „Renaissance”.

Ta piękna książka należy do rzędu tych, w których cywilizacja białych ludzi nie wychodzi zwycięsko z konfrontacji z prymitywną etyką Małajczyków, Indian, Eskimosów czy innych pierwotnych plemion.

Dzieje męznego i szlachetnego Eskimosa Mali są nam już znane z filmu *Eskimo*, wyświetlanego przed paru laty w Warszawie. Teraz w powieści Freuchena odnajdujemy naszego bohatera i śledzimy jego losy z tym zainteresowaniem, jakie się ma dla kogoś znajomego i bliższego. Powieść nie oszczędza nam jednak tych samych uczuć, jakie w nas budził film: zażenowania z powodu przynależności do tej samej kultury, która kompromituje i siebie i nas wobec prostych, ale prawych odczników ludów na niższym szczeblu cywilizacyjnym. Czujemy się współodpowiedzialni za wszystkie łajdactwa łowców wielorybów, którzy na okrętach swych przybywają do najbardziej północnych ziem, po to, by haniebnie wyzyskać i oszukać miejscowych Eskimosów, wymieniać swoją niecnie wartą tandetę na ich kosztowne futra i beceremonialnie na czas pobytu na północy odbierać im żony i córki: Czujemy się zażenowani postępowaniem inspektora policji: jego tępą i bezduszną służbiuszką odpycha od kultury, której jest przedstawicielem.

To nie przez przekorę w konflikcie dwu światów — cywilizacji białych ludzi i prymitywu plemion pierwotnych — nasze sympatie są zawsze po stronie tych ostatnich. Bo w tych zetknięciach ze szczególną siłą wyrażają się najgorsze cechy naszej cywilizacji: brutalność, okrucieństwo, chciwość w przeciwnieństwie do łagodności, naiwności i prawości istot nie korzystających jeszcze z dobrodziejstw naszej kultury.

Freuchen jednak nie idealizuje swego bohatera, nie sublimuje go, aby siłą kontrastu wzmocnić w nas niechęć do naszej zalęganej kultury. Mala jest Eskimosem żywym, z krwi i kości, nie udaje niewinnej, sentymentalnej owieczki, przeciwnie, dopuszcza się czynów, które w nas budzą zgrozę — morduje swych wrogów, a ich żony bierze sobie. Ale Mala czyni to w imię imperatywów swoistej kultury i moralności swego plemienia. Mala jest w porządku ze swoim sumieniem, nie odczuwa wyrzutów i nie rozumie stawianych mu zarzutów i nawet wtedy, kiedy wroga swego zabija, odcina mu nos i wydłubuje oczy — Mala nie przestaje być gentlemanem i nie pozbywa się pewnej szlachetnej godności. Czytelnik ze wzruszeniem śledzi dramaty tego nawpół dzikiego, ale godnego szcunku serca na tle surowej przyrody arktycznej. Etyzotyka jednak tego tła, obyczaje autochtonów, obrazy ich życia, — wszystko to schodzi na drugi plan wobec zasadniczego konfliktu między prymitywną moralnością Eskimosa i moralnością białych ludzi.

Przekład p. Łozińskiej na ogół poprawny, choć nie wolny od niedociągnięć stylistycznych i błędów językowych.

STANISŁAW CZOSNOWSKI

## TEATR

TEATR NARODOWY: *Śluby panienskie*, komedia w 5 aktach ALEKSANDRA FREDRY, reżyseria Stanisława Stanisławskiego, dekoracje Stanisława Jarockiego.

Mówiąc otwarcie, zapowiedź *Ślubów* w teatrze Narodowym nie wzbudzała żywszego zaciekania. Oczekiwano się raczej uroczyściej i godnej nudy. Arcydziałem pełne uśmiechu, lekkości, wdzięku — przepowiedano sobie z melancholią — zapewne, nikt nie przeczy, ale jak to będzie wyglądało na tej scenie, gdzie zostało jeszcze po kątach sporo tradycji teatru Rozmaitości? Tej tradycji z końca wieku, która nakazywała grywać *Śluby panienskie* prawie jak „*Śluby Kościuszkowskie*” — „z podniesionymi ku niebu oczyma”, z religijnym niemal nabożeństwem, z wzniosłością taką, jakiej wymagają objawienia ducha narodowego. Przecież właśnie po to, aby ten duch mieszał dostojnie i reprezentacyjnie — zatłaczano scenę meblami; po to rozwieszano na wszystkich ścianach portrety antenatów pani domu i przynajmniej jeden hetman Dobroński ze złoczystych ram rozkazywał publiczności wzniesioną buławą, żęły szła gromić po hańce. — W takiej atmosferze gra aktorów sama przez się nabierała dostojności, bo niełatwo było tutaj pozwolić sobie na lekkość tonu. Pani Dobrońska z szumem falban obnosiła po scenie majęta polskiej matrony, Radosz trzymał się tak, jakby miał lada chwila poszukać u hoku karabeli i westchnąć: „hej, hej pani barska...”, panny celebrowały rodzimych dziewic cnoty i uroki. Co się zaś tyczy Gustawa, to przecież sypiał



w salonie głównie dlatego, żeby pokrzepiony smaczną poobiednią drzemką był gotów na każde wezwanie „na koń”...

To też aż nadto zrozumiale stawały się w tych warunkach gniewne odruchy tych młodych teatrów — choćby Ateneum, — które brutalnie chciały odegrać Fredrę, przyprowadzając jego luzarom lokiowe nosy i robiąc z jego dam skończone czupiradła. Był to objaw zdrowego buntu przeciw cklamym i wzniosłym fałszom tej tradycji, która wówczas w teatrze Narodowym rządziła jeszcze z ponurym despotyzmem.

Ohecnie jednak — i to było tak niespodziane, że miało się ochotę przetrzeć oczy — z tych starych nawyków do pompy nie zostało ani śladu. Reżyseria Stanisławskiego, nie uciekając się do całkiem zawodnych w tym wypadku efektów groteski, umiała przywrócić *Ślubom* styl komedii — ukryty przez wiele lat pod tą czczią i solennością jak freski pod tynkiem. Posunęła się nawet pod tym względem do takiego zachwałstwa, że gdyby podobne przeszło bodaj przez myśl reżyserowi teatru Narodowego przed kilku laty, zmartwiałyby ze wstydu i zgrozy. Oto np. Radosz wypadła z kulis ciągnąc uczepioną do pól fraka panią Dobrońską, a tę znowu powstrzymywała za suknię Aniela — i taką rozchukaną „fornalką” cwałowali przez scenę. Gustaw przedrzeźniał pretensjonalne ruchy Albina, unosząc fraka i wywijając nogami, niby baletnik włoski. Kto chciał się zwierzyć ze swych myśli w monologu, podchodził jawnie na przód sceny i mówił wprost do publiczności. — Pamiętamy zaś, ile to ciężkich zmartwień miewał teatr z monologami Fredry dziesięć lat temu; jak wówczas aktor manował je wstydliwie pod nosem i jak usprawiedliwiał ruchami zdenerwowanie, żeby widzi przypadkiem nie wziął go za mentekaptusa. — To odnalezienie dla sztuki właściwej formy scenicznej przywróciło aktorom swobodę, żywość i zmysł komizm, w większości wypadków trafiający w samą miarę — ani zbyt krzykliwą ani realistycznie stuszowaną. O sztuce nie ma co i mówić. Choć znana jak amen w pacierzu, jeszcze raz napelniała świeżym zdumieniem: co to był za majster ten stary i skrzywiony na cały świat szlachciura! Niewiele trzeba było, aby komedia ożyła i odezwała się tak zaradliwym śmiechem, że raz po raz podchwytowała go widownia — rzecz rzadka przy tym poziomie sztuki; zazwyczaj kończy się tu na uśmiechu.

Tego rozbawienia byłoby znacznie więcej, gdyby w parze z żywością i mocą gry szła umiejętność mówienia wiersza. Ale tę wspaniałą sztukę zagubił teatr polski doszczętnie w okresie swego gnuśnego „realizmu” i zapewne sporo wody upłynie, zanim ją znowu odnajdzie. Tym razem dużo wierzysz przepadło w mamrotach i świergotaniach, dużo także — w dłuższych partiach — miało, doprawdy, kołowrotkową monotonię. Dobrze brzmiały tylko krótkie dialogi, najbliższe prozie.

Stanisławski dał swemu Radostowi, oprócz dobrej charakterystyki, tyle właśnie śmieszności w gwałtownych i jednocześnie niepewnych ruchach, ile było trzeba, aby postać stała się komiczna, nie tracąc pozorów prawdy; była to figura w dobrym stylu fredrowskim z tych jeszcze czasów, kiedy sztuka grania komedii nie zwyrodniała w mieszczańską dramaturgię albo w farsę. Leszczyński rzeczywiście, nie tylko z roli, był duszą wszystkich wydarzeń — robił co chciał ze stryjen. Albinem, panną z tak niezawodną pewnością środków, że chwilami budził się w nas protest przeciw tej jego przemocy. Zwalaszcza panny było żal — rozgrzewanie w niej miłości wyglądało tu raczej na sztukę wytrawnego uwodźcy, niż na zabiegi zakochanego. Aniela Barszczewskiej warta była, niewątpliwie, lepszego losu — miała w ścisłej poważnej twarzy i w surowych oczach taki napół dziecinny niepokój wobec życia i takie obietnice miłości wiernej i prawej, że budziła żywą sympatię; przy rozleglejszej skali akcentów uczuciowych w głosie Barszczewska może się stać Aniela jedną z najlepszych — ma bowiem szczerść i prostotę, które prowadzą do sztuki dużej miary. Klarę grała zadzirzyście Świerczewska, panią Dobrońską — Sulima, która obdarzyła poczciwą szlachciankę dystynkcją prawie książęcą. Wesolowski swego Albina przerzucił z miejsca na drugą stronę tej bariery, która dzieli komedię od farsy — rozśmieszyszy widzów płaczącą miną, już się z nią nie rozstawiał do końca przedstawienia. Reżyser winien był mu to łagodnie wyperwadować.

BOHDAN KORZENIEWSKI

**FUNDUSZ OBRONY MORSKIEJ** musi być uważany za równoległy z FUNDUSZEM OBRONY NARODOWEJ; każdy kto składa ofiarę na obronę morską, dopełnia tem samem obowiązku obywatelskiego względem Funduszu Obrony Narodowej!

12 odcisnąć, złożonego w dniu 29 VI. 1936 przez gen. dyw. K. Sosnkowskiego, Prezesa Zarządu FOM, w imieniu Prezesa Rady Ministrów.

## PUBLICYSTYKA

JAN OTMAR BERSON: *Kreml na biało*. Warszawa 1936. Tow. Wydawn. „Rój”.

*Kreml na biało* to już druga książka długoletniego korespondenta P. A. T. i *Gazety Polskiej* w Moskwie, bodaj najlepiej poinformowanego publicysty polskiego w sprawach Rosji Sowieckiej. (Pierwszą była wydana w roku 1933 *Nowa Rosja*). Druga i zarazem ciekawsza. Publikacja ta wprowadza w zawiłany proces ewolucyjny partii komunistycznej i Rosji; jest doskonałą lekturą dla tych, którzy poza abstrakcyjnymi i dogmatycznymi rozważaniami chcą spojrzeć trochę na fakty.

Szczególnie rozdziały zawierające sprawozdania z kongresów Kominternu powinny postawić na nogi tych, którzy lubią uparcie stać na głowie.

Charakterystyczny tytuł, zawierający aluzję do rzeczywistości sowieckiej, jest dziś jeszcze prawdziwszy niż w momencie, gdy autor wystukiwał go na maszynie. Trzeba więc powiedzieć, że uczynił to trafnie.

W pokaznym gąszczu zagadnień, tematów i spostrzeżeń, opisanych reportażowymi skrótami, wynurza się od pierwszego rozdziału nuta dominująca (zapewne zamierzona): czym jest dziś Rosja, jaki jej ustrój?

Istotnie od chwili gdy Stalin, wbrew doktrynie Marxa i opinii partyjnych towarzyszy, zaczął realizować „socjalizm w jednym kraju”, coraz trudniej na to odpowiedzieć, a pytanie jest bardzo ważne, bo wszystkie inne zarzuty, dotyczące ciężkich warunków życiowych proletariatu, braku wolności i t.p., marxiści mogą łatwo odparować choćby cytując z książki Lenina *Państwo i Rewolucja* (rozdział V) o przejściowym stanie państwa „dyktatury proletariatu”, ale ten, że z Rosji zamierza Stalin zrobić ojczyznę, że szermuje się tam hasłami „ojczyźnianej wojny” (autentyczne), że biurokracja miast tonąć do roli służby proletariatu — jak początkowo zresztą było — zaczyna rosnąć się, tworzyć prawdziwą klasę społeczną — tego szczerzy marxista, znający się na rzeczy, nie strawi.

A więc państwo pograża rewolucję? Z komunizmu robi się jakiś komunofaszyzm?

Takie właśnie myśli przychodzi przy czytaniu rozdziału „Tragedia leningradzka”, w której Otmar analizuje zamach na Kirowa. Dziś już znamy dalszy ciąg tej historii: rozstrzelanie 16 „gwardzistów rewolucji” i porachunki z licznymi zwolennikami „lewego ukłonu” czyli po prostu rewolucjonizującymi członkami partii. Efekt oczywiście duży, zwłaszcza wśród komunistów nierosyjskich;

postronni obserwatorzy nie wahają się klasyfikować rosyjskiego komunizmu po prostu jako „narodowego socjalizmu” (*The Manchester Guardian* nr. z 11 września).

W tym zamieszaniu ideologicznym jest dużo ofiar tragicznych, takich jak np. polski poeta Wandurski (którego Otmar wspomina), socjalista z uczucia, jakich mamy wielu, gnijący od dawna w więzieniach moskiewskich; biedny idealista, roily mu się miraż wolności... Często się agituje za wypuszczeniem ofiar z więzień hitlerowskich, mozeby raz zaagitować o Wandurskiego?

Nie ulega wątpliwości, że obok przebudowy ustroju najważniejszym postulatem i koniecznością sowiecką jest zmiana psychiki człowieka, wychowanie go do ustroju socjalistycznego, zastąpienie motorem działającego z chęci zysku motorem innym — „poczucia społecznego”. Jak to wygląda, czytamy w rozdziale „Przeżytki kapitalizmu” ilustrującym tę sprawę od strony negatywnej.

Mamy jednak żal do autora, że nie oświetlił tej sprawy właśnie od strony pozytywnych osiągnięć. Prawdopodobnie w tym właśnie punkcie eksperyment komunistyczny jest najciekawszy: jak reaguje żywy człowiek, jak się aklimatyzuje i jak zmienia w rzeczywistości ekonomicznej tak całkowicie różnej od reszty świata. Bo sprawa wygląda tak: co innego zarzuty marxiistów przeciwko ustrojowi kapitalistycznemu, a co innego medycyna narxowska. Na zarzuty nie tylko można ale trzeba się zgodzić (przynajmniej na zasadnicze), co zaś do proponowanej kureacji, to — jak wiemy — niezgodność jest wielka i dzieli świat współczesny na wrogie obozy. Walnym przeciwargumentem, obok teoretyczno- i praktyczno-ekonomicznych, jest argument utopijności psychologicznej, niemożności naklonienia człowieka do skutecznego działania gospodarczego pod innym kątem widzenia niż zysk osobisty. Sprawa ta zasługuje moim zdaniem na bliźszą obserwację. Nie poziom życia w Rosji bowiem będzie decydował (przez najbliższych kilka lat) o tym, czy eksperyment udał się czy nie (teoria marxiistowska nie obiecywała w okresie przejściowym dyktatury proletariatu — dobrobytu i równości ekonomicznej). Będzie decydował wynik próby zmiany człowieka, wychowania go do rzeczywistości socjalistycznej. To jest ciekawe i to jest dziś w dyskusji na temat marxiizmu ważne.

Wszyscy interesujący się sprawami Rosji sowieckiej znajdą w *Kremlu na biało* ciekawą i barwną lekturę, informującą zarówno o rzeczach „ważnych i poważnych” jak i o sprawach drobnych ale charakterystycznych.

T. UNKIEWICZ

## N O W E K S I A Ź K I

### FILOLOGIA KLASYCZNA

STANISŁAW LENKOWSKI: *Z życia i kultury antyku*. Tom III. Lwów 1936. Nakładem Filomaty. Biblioteka Filomaty 16. Str. 357.

Tom trzeci tych szkiców z życia i kultury antyku zajmuje się tematami następującymi: 1. 1400 lat ustawodawstwa Justyniana. 2. Venus w rzeźbie greckiej. 3. Duch i rozwój rzeźby greckiej. 4. Dola pisarza w Rzymie starożytnym. 5. Malarstwo w starożytności. 6. Narodziny powieści. 7. Numizmatyka grecka i jej znaczenie. 8. Duch i rozwój architektury klasycznej. 9. Kultura miast Azji Mniejszej. 10. Starożytne teorie państwa. Na końcu znajduje się bibliografia dotycząca wszystkich trzech tomów dzieła. Rzecz jest opatrzona licznymi ilustracjami.

ALINA CHODACZEK: *De Prisciani Lydi Solutionum capite VI*. Leopoli Polonomum 1936. Acta Seminarii Philologici II Universitatis Ioanneo-Casimirianae Leopoliensis curante Georgio Kowalski. Fasc. 1. Str. 42. Zł. 5.—.

### HISTORIA

Mjr. Dr. STEFAN POMARAŃSKI: *Józef Piłsudski (1867 — 1935)*. Wydanie trzynaste uzupełnione. Biblioteka Uniwersyteckich Ludowych Nr. 48. Warszawa 1936. Gebethner i Wolff. Str. 64.

Nowe wydanie popularnej i popularnej a równocześnie wnie oparty na dokumentach historycznych broszury. Mjr. Pomarański, znany badacz dziejów ostatnich, daje na niewielu stronach syntezę życia Marszałka. Dla poznania historii czynów Piłsudskiego książka ta jest niezbędna. Powinna znaleźć się we wszystkich bibliotekach szkolnych, organizacyjnych, wojskowych, strzeleckich itp.

Mjr. Dr. STEFAN POMARAŃSKI: *Z historycznych dni lipca i sierpnia 1914 r.* Polska i Świat Współczesny. Biblioteka Młodzieży, 44. Warszawa. Gebethner i Wolff. Str. 72.

W książeczce tej zamieścił mjr. Pomarański wspomnienia z okresu tworzenia się Legionów.

## PRZED KOŁEM SZCZĘŚCIA

O zdobyciu pieniędzy marzą wszyscy, najgoręcej ci, którym życie skąpi swych uśmiechów i radości. Zdobywać pieniądze nie jest jednak rzeczą łatwą w dzisiejszych czasach. Więc ten i ów próbuje szczęścia na drodze hazardu.

Gry hazardowe kończą się prawie zawsze jednakowo: przegrana. I to nie taką przegrana, na jaką ostatecznie gracz mógłby sobie pozwolić, ale z reguły przegrana, przewyższająca możliwości płatnicze ryzykanta. Skutki takich przegranych są po największej części tragiczne i czytamy o nich — niestety — dość często w kronice nieszczęśliwych wypadków: „pan X odebrał sobie życie, powodem zamachu samobójczego była większa przegrana”.

W grach hazardowych niewiadomo ile można wygrać i — co ważniejsze — niewiadomo ile można przegrać. Wygrywa jeden, przegrywa z kretesem stu. To jest reguła.

Na tej drodze do pieniędzy się nie dojdzie. Ludzie, którzy lgną mimo to do hazardu, gdy się ich przekonywa, że są inne pewniejsze i bezpieczniejsze sposoby dojścia do majątku, że ist-

nieją inne rodzaje gry, pozbawione hazardu i nie narażające na utratę czci, honoru i życia, odpowiadają: „Ba, ale nie mam cierpliwości, nie mogę czekać, a tu może w jednej chwili złogocę się”.

Oczywiście, desperatom, którzy chcą skrócić kark, trudno wyperswadować, że schody istnieją po to, aby zejść po nich bezpiecznie z czwartego piętra, zamiast skakać z okna na ulicę.

Każdy jednak rozsądny człowiek rozumie, że cierpliwość i wytrzymałość jest w życiu konieczna. Dla każdego jest jasne, że tylko spokojna, celowa, nie narażająca na uszczerbek materialny gra na Loterii Państwowej może prowadzić do pożądanego celu — do wygranej.

Na tysiące liczy się już dzisiaj ludzi, którzy zapewnili sobie jutro i patrzą pogodnie w przyszłość, dzięki Loterii Państwowej.

Nie jest więc wcale paradoksem powiedzono jednego ze szczęśliwych graczy, znanego szerszym warstwom publiczności w stolicy:

„Gdyby Loterii nie było, należałoby ją wymyślić”.

Sam znany organizator i żołnierz I Brygady, dożruca autor dużo cennych i opartych na własnych przeżyciach szczegółów — o powstawaniu drużyn strzeleckich, wymarszu z Oleandrów i pierwszych bojach. Rzecz, mająca duże znaczenie dla poznania dziejów współczesnych, napisana ładnie i interesująco, powinna być jak najszerszej rozpowszechniona.

### HISTORIA LITERATURY

TADEUSZ MIKULSKI: *U grobu polskiego Owidiusza*. Odbitka z *Prac Historyczno-Literackich* ku czci Ignacego Chrzanowskiego. Kraków 1936. Nakładem autora. Str. 26.

Interesujący, źródłowo udokumentowany przyczynek na temat znajomości i kultu Owidiusza w dawnej Polsce.

ZDZISŁAWA KLOBERÓWNA: *Zofia Natkowska*. Próba charakterystyki dzieł i autorki. Stryj 1937. Nakładem *Kwartalnika Nauczycielskiego* w Stryju. Str. 56.

ZDZISŁAWA KLOBERÓWNA: *Humor Józefa Piłsudskiego w świetle jego pism*. Stryj 1935. Nakładem *Kwartalnika Nauczycielskiego* w Stryju. Str. 48.

### HISTORIA SZTUKI

HELLMUTH ALLWILL FRITZSCHE: *Bernardo Belotto genannt Canaletto*. Burg bei Magdeburg 1936. August Hopfer Verlag. Str. XII i 232. 40 ilustracji w tekście i 80 na osobnych tablicach, dodanych w końcu tomu. Cena w opr. pl. RM. 24.—, w opr. kart. RM. 22.—.

(L. P.) Jest to fundamentalna monografia weneckiego malarza, związanego najściślej z Warszawą czasów saskich i stanisławowskich. Poza najdokładniejszą biografią Canaletta autor przedstawia całość jego twórczości i daje pierwszy *całkowity* katalog rozumowany jego obrazów, sztućków i rysunków. Specjalny rozdział poświęcony jest udowodnieniu, że Canaletto przy tworzeniu widoków miast posługiwał się ówczesnymi sposobami fotograficznymi (*camera obscura*). — Wśród obfitej literatury przedmiotu autor wymienia również prace polskie, mianowicie studia Tymoteusza Sawickiego i Juliusza Starzyńskiego, odpowiednio wyszukane w dziele. Materiał ilustracyjny monografii jest bardzo obfity i obejmuje wszystkie dziedzin twórczości Canaletta. Wśród doskonale wykonanych światłodrukowych reprodukcji widoków miast znajduje się kilkanaście widoków Warszawy, dwa widoki Wilanowa, widok Woli (elekcja Stanisława Augusta) i widoki brzegów Wisły. Poza tym z tematów polskich mamy portrety księcia Sułkowskich, wjazd kanclerza Ossolińskiego do Rzymu (1663 r.) i liczne rysunki herbów polskich.

### PAMIĘTNIKI

TEODOR TOMASZ JEŹ (ZYGUNT MIŁKOWSKI): *Od kolebki przez życie*. Wspomnienia. Do druku przygotował Adam Lewak. Wstępem poprzedził Aleksander Brückner. Kraków 1936. Nakładem Polskiej Akademii Umiejętności. Tom I. Str. XL i 474. Tom II. Str. 480.

Pamiętnik Jeża obejmuje dzieje autora od czasów dzieciństwa do r. 1873. Spisany był w latach 1884 — 1909. Fragmenty niewielkie tego pamiętnika były drukowane różnymi czasami, a mianowicie dwa pierwsze rozdziały (*Ród, Lata dziecięce i Pierwsze wrażenia*) ukazały się w *Tygodniku Ilustrowanym* z r. 1901. Część rozdziału trzeciego drukowała *Teka* w r. 1903. Czas odeskie, opisane w rozdziale czwartym, ogłosił autor w broszurze *Ze wspomnień odeskich*, Warszawa 1893. Rozdziały piąty, szósty i siódmy drukowała *Biblioteka Warszawska* w r. 1909 p. t. *Od kolebki przez życie*. Całość pamiętnika, obejmująca w rękopisie 2597 kart drobnego pisma, wychodzi obecnie w starannym wydaniu Adama Lewaka, poprzedzona charakterystyką literacką pamiętnika, napisaną przez prof. Brücknera, i obszernym studium wydawcy p. t. *Pracu i idee polityczne pulk. Zygmunta Miłkowskiego na tle jego wspomnień*. Tom I obejmuje czas od r. 1851, tom II lata 1851 — 1863. Ostatnie dziesięciolecie wypełni zapewne tom III, który jeszcze się nie ukazał.

### PODRĘCZNIKI, ENCYKLOPEDIE

*Słownik pseudonimów i kryptonimów pisarzy polskich oraz Polski dotyczących*. Opracował ADAM BAR przy współdziałaniu Wł. Tad. Wisłockiego i Tad. Godłowskiego. Tom II. Pseudonimy i kryptonimy od L. — Z. Kraków 1936. Prace Biblioteczne Krakowskiego Koła Związku Bibliotekarzy Polskich, VIII. Str. 240. Zł. 10.—.

Zapowiedziane jest ukazanie się tomu III, który zakończy ten cenny podręcznik bibliograficzny.

*Książka rezerwisty*. Napisal do użytku rezerwistów wszystkich rodzajów broni ROMAN ZAWADA, kapral rezerwy. Warszawa 1936. Wojskowy Instytut Naukowo-Oświatowy. Str. 444 i mapa. Zł. 1.50.

Praca ta, zawierająca 444 strony druku i mnóstwo poglądowych rycin, mapek itp., jest przeznaczona do użytku rezerwistów wszystkich rodzajów broni. Jest to niezwykle wyczerpujący informator i podręcznik, omawiający wszystkie ważniejsze dziedziny, okoliczności i sposoby pracy rezerwisty dla obrony kraju. Każdy obywatel znajdzie w niej mnóstwo wskazówek i odpowiednich pouczeń, jak może spełnić w razie potrzeby swe obowiązki żołnierskie i obywatelskie i jak się do nich przygotować.

### POEZJA

MARIAN CZUCHINOWSKI: *Powódź i śmierć*. Kraków 1936. Biblioteka „Nowej Wsi”. Nr. 2. Str. 47.

Na końcu tomu czytamy: „*Poemat Powódź i śmierć* ogłoszony został w całości w robotniczo-chłopskich czasopiśmie literackim od jesieni 1934 r. do jesieni 1935 r. Opóźnienie wydania książkowego powstało z przyczyn od autora absolutnie niezależnych”.



JAN BRZEKOWSKI: *Zacięte dookoła* ust. Poezje. Ilustracje Max Ernst. Układ graficzny Wł. Strzeński. Warszawa 1936. Biblioteka „a. r.” tom 7. Str. 38.

Zbiór wierszy poprzedza krótka przedmowa, wyjaśniająca używane przez autora pojęcie „integralizmu”, który „jest nie tylko metodą literacką, ale i nową, twórczą dyscypliną. Jest postawą wobec życia”.

## POWIEŚĆ

WŁADYSŁAW ORKAN: *Czantorja* i pozostałe pisma literackie. (Dziela pod redakcją Stanisława Pigonia). Warszawa 1936. Str. 300.

Zgromadzone tu utwory Orkana nigdzie jeszcze nie drukowane, wydobyte z autografów lub rozproszone po czasopiśmie. Wnoszą one do twórczości tego pisarza nowe, nieznane szerszemu ogółowi pierwiastki, nacechowane wartościami artystycznymi, nie ustępującymi najbardziej głośnym jego dziełom. Rozpoczyna tom piękny fragment wydobytej z autografu powieści *Czantorja* — dramat Romea i Julii, przeniesiony na rozłożyste stoki Baraniej Góry, na wzgórze nadwiślańskie Czantoryi i Równicy. Dramat Jana i Hany, dorodnego juhasa i pięknej pasterki, wynikający z rodzinnego zatargu, rozgrywa się na tle przyrody i obyczajów góralskich, opisany z talentem przypominającym najpiękniejsze karty *Drzewiej*. Poza *Czantorję* mamy tu kilkanaście nowel i obrazków o tematach podhalańskich — wszystkie na wysokim poziomie, a niektóre — jak *Zła zima*, *Orły* lub *Dzuma w Bolejemie* — dorastające miary drobnych arcydzieł. Kilka z nich wydano z rękopisu. Drugą połowę tomu wypełniają studia literackie, wydane z rękopisów lub przypomniane z czasopiśm. Zasięg tematów w studiach bardzo szeroki. Od doskonałych, cennych jako dokumenty, sylwetek ludzi znanych autorowi i bliskich (Witkiewicz, Tetmajer, Wysłouchowa), do poglądów artysty na artyzm (Słowacki, Młoda Polska), do wypowiedzi ogólnych, przedmów itp. (m. in. charakterystyka literatury ukraińskiej). Dopełniają tomu *Myśli i Plany powieści*, a zamykają notatki bibliograficzne i komentarze prof. Pigonia, świadczące o skrupulatnym i pełnym pietyzmie przygotowaniu tych tekstów do druku. Strona zewnętrzna wydania staranna i estetyczna.

JERZY KOSSOWSKI: *Policjant Giacomo Bicarani. Kapitan Tomek. Szczepan Roskocha*. Wydanie szkolne. Biblioteczka Uniwersytetów Ludowych i Młodzieży Szkolnej, 38. Warszawa 1936. Str. 93. Zł. 1.30.

Trzy nowele ze zbioru *Zielona kadra*, zatwierdzone do lektury szkolnej.

JANUSZ MEISSNER: *Opowiadania lotnicze*. Kraków 1936. Nakładem Towarzystwa Szkoły Ludowej. Str. 152. Zł. 4.—

Książka znanego autora-lotnika ma na celu zaznajomienie czytelników, zwłaszcza młodzieży, z rozwojem lotnictwa, z jego rolą w czasie wojny i służbą dla dobra ludzkości w czasie pokoju, wreszcie z lotnictwem jako jednym z najbardziej emocjonujących sportów nowoczesnych. W trzynastu zajmujących opowiadaniach autor przechodzi całą historię lotnictwa samolotowego od braci Wright i Blériota aż do słynnego lotu Orlińskiego do Tokio, tragicznej próby zdobycia oceanu przez Ldzikowskiego, zwycięskiego przelotu Skarżyńskiego z Afryki do Ameryki Południowej, wreszcie triumfu Żwirki w challengeu w 1932 r. i Bajana w r. 1934. Są tu również opisy bohaterów walk lotników polskich w czasie wojny polsko-ukraińskiej, odwrotu spod Kijowa i odparcia bolszewików spod Warszawy. Dalej opis rosyjskiej wyprawy polarnej na „Czeluskinie” i wyratowania rozbitków przez lotników rosyjskich, rola samolotów sanitarnych niósących pomoc lekarską chorým mieszkającym w odległych i niedostępnych zakątkach kraju, wreszcie akcja ratunkowa lotników w czasie ostatniej wielkiej powodzi na Podkarpaciu. Opisy te cechuje żywa bezpośredniość przy wielkiej prostocie środków artystycznych.

## PUBLICYSTYKA

ZDZISŁAW STAHL: *Polityka polska po śmierci Piłsudskiego*. Lwów—Warszawa. Wyd. Organizacji Myśli Politycznej. Str. 123.

Książka stawia sobie za temat ujęcie tego, co w polskim rozwoju narodowym jest dziś najważniejsze i najbardziej istotne. Zwalcza to, co zdaniem autora stanowi główną słabość i przeszkodę, oraz formułuje cele, uważane za pierwszorzędne.

„SŁOWAK”: *Rola Słowaczyny w militarnym sojuszu Czechów z bolszewicką Rosją*. (Tragedia narodu słowackiego). Warszawa. Str. 42.

Odbitka z XLVII tomu 1936 r. miesięcznika *Nasza Przyszłość* — *Trybuna Polskiej Myśli Państwowej*.

Wszystkie książki i książkowe wydawnictwa periodyczne (miesięczniki, kwartalniki, roczniki), nadsyłane do PIONU, notowane są w dziale „Nowe Książki” i zaopatrywane — w miarę możliwości — w krótkie notatki informacyjne. Recenzje dłuższe umieszcza redakcja podług własnego uznania i wyboru. PP. Wydawcy proszeni są o nadsyłanie swych wydawnictw — o ile to możliwe — w dwóch egzemplarzach.

Rękopisy nadesłane a nie przyjęte do druku redakcja zwraca jedynie w tym razie, jeżeli autor dołączy do rękopisu kopertę zaadresowaną do siebie i dostatecznie ofrankowaną.

## KRONIKA

## PLAN FEDERALNY NR 1

W Stanach Zjednoczonych, gdzie bezrobocie przybrało rozmiary wprost zastraszające, w ogólnym planie walki z tą klęską społeczną istnieje „projekt federalny nr 1”, dotyczący specjalnie pomocy dla bezrobotnych pracowników umysłowych.

Wrześniowy zeszyt paryskiego periodyka *Le Mois* informuje nas, że plan ten zmierza do zatrudnienia 15.639 muzyków, 10.700 aktorów i pracowników teatralnych, 6.077 artystów-plastyków i 4.500 pisarzy. Zaczniemy od literatów, jako że najbliższa ciału kosała.

W ramach zatrudnienia tych pisarzy podjęto olbrzymie wydawnictwo, mianowicie wszechstronny i szczegółowy opis Stanów Zjednoczonych.

Jest to coś w rodzaju monumentalnego Baedekera w pięciu ogromnych tomach, co znacznie przekracza rozmiary wszelkich przewodników turystycznych. Akcja, zakrojona na taką skalę, musi do przenikania do najodleglejszych zakątków kraju celem ich zbadania i opisanie i temu właśnie zadwiecza się szereg rewelacji.

Odkryto w ten sposób między innymi w stanie Montana potomków pierwszych wychodźców francuskich do Kanady, którzy następnie weszli w związek z Indianami, ale do dziś dnia zachowali francuszczyznę z XVIII w.

W górach Kentucky natrafiono na potomków emigrantów szwajcarskich, używających języka angielskiego z XVI w., t. j. tego samego, którego ich przodkowie nauczyli się po osiedleniu się w nowej ojczyźnie.

Na Alasce znów są całe wieś myśliwych i rybaków rosyjskich (Alaska do połowy zeszłego wieku należała do Rosji), używających w dalszym ciągu języka rosyjskiego, choć są otoczeni Anglo-Sasami i Eskimosami. Okazało się ponadto, że język autochtonów, różnych plemion indiańskich i eskimoskich, wykazuje już obecnie wyraźny wpływ języka rosyjskiego, który promieniuje z tych osiedli.

Artyści-plastyki — malarze i rzeźbiarze — mają być użyty przy ozdabianiu gmachów freskami, obrazami i rzeźbami, a także zatrudniani w szkołach, w charakterze wykładowców swych kunsztów.

Muzyki tworzą orkiestry symfoniczne i inne, które przebiegając kraj we wszystkich kierunkach wystawiają opery i dają koncerty, ciesząc się coraz większym powodzeniem. Znajdują tu także zajęcie zapoznani kompozytorzy i nauczyciele muzyki.

Opatrznościową wprost instytucją dla niezaangażowanych aktorów oraz dramaturgów nie cieszących się względami dyrektorów teatru stała się sekcja teatralna. Ponieważ koszty wystawienia sztuk granych przez te zespoły sprowadzono do minimum, przeto i ceny miejsc można było naznaczyć minimalne, co jednak wpłynęło na ogromny wzrost frekwencji, zwłaszcza, że gra aktorów stała zawsze na poziomie. Na tych przedstawieniach widuje się np. *Makbeta* w wykonaniu aktorów Murzynów. Duże powodzenie tych popularnych widowisk, przynosząc wcale przyzwoity dochód, pozwala na okazalszą wystawę, a to z kolei umożliwia zatrudnienie całej armii dodatkowych współpracowników, dekoratorów, malarzy, techników, czyli uruchomienie dalszych odcinków „planu federalnego nr 1”.

Doniosłość tego eksperymentu zwłaszcza w dobie kryzysu jest olbrzymia. Akcja ta nie tylko ratuje przed ostateczną nędzą i zdeklasowaniem tysiące pracowników umysłowych, ale udostępniając za minimalną opłatą pewne wartości najszerszym masom, budzi w tych masach nie znane im przedtem apetyty i kształci je na stałych odbiorców tych wartości także i w przyszłości.

Akcja pomocy amerykańskim bezrobotnym artystom i pisarzom zakrojona jest na wielką, amerykańską skalę. Nie wiem, czy da się ustalić, ilu jest w Polsce pozbawionych pracy artystów, pisarzy i pracowników w zawodach pokrewnych i pomocniczych, niewątpliwie jednak liczba ich, zwłaszcza muzyków, jest na nasze stosunki dość wysoka.

Rozumiemy, że nie stać nas na przyjęcie z pomocą naszym bezrobotnym artystom i literatom według planu zakrojonego z tak amerykańskim rozmachem. Wydaje nam się jednak, że w tej dziedzinie w Polsce nie wiadłać nawet wysiłku zbudowania grobli wedle swego stawu.

Może przykład „planu federalnego nr 1” pobudzi i u nas szczęśliwą inicjatywę w tym kierunku.

ST. CZOSNOWSKI

## WYSTAWA 1000 KSIĄŻEK

Z TECHNIKI  
MECHANIKI  
RZEMIOSŁA  
BUDOWNICTWA  
I KOMUNIKACJI

Wejście bezpłatne. Katalogi darmo

Jednocześnie sprzedajemy powieści i różne

TANIE KSIĄŻKI

po jednolitych cenach

po 10, 20, 30, 40, 50, 75 i 95 groszy

Co miesiąc nowa seria książek

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

Plac Trzech Krzyży 8, w II-im podwórzu

Godziny otwarcia od 9-ej do 19-jej prócz świąt

czywiście te zastrzeżenia bynajmniej nie przekreślają znaczenia negatywnej części wywodów Skińskiego, niemniej każą założyć, że znakomity krytyk, wykazujący tak wielkie zdolności analityczne, z o wiele mniejszym powodzeniem radzi sobie z pozytywnymi programami, nakazami itp. Zajmując się nimi jest Skiński bardzo „polski” — w tym sensie, którego sam tak szczerze nie lubi.

PSEUDOPOETYCZNA SIECZKA. Ambicją dzienników jest prowadzenie dodatku popularnego „literacko-naukowego”. Co niedziela czytelnik, chcąc nie chcąc, musi przelknąć mniejszą lub większą porcję wiadomości z dziedziny literatury, sztuki i nauki. Wydawałoby się, że jest wszystko w porządku. Wydawałoby się jednak tylko, bo poziom tych dodatków wola nie raz o pomstę do nieba. Dobrze jeszcze kiedy autorzy prac umieszczonych w dodatkach mają wyłącznie ambicję popularyzatorską. Mniejsza już o to, że często rzeczy, które się popularyzuje, są nie warte popularyzacji, że zbyt często plotkarski stosunek autorów do wybitnych postaci jest typowy dla charakteru tych dodatków, że wreszcie czytelnik również często w numerze takiego dodatku znajdzie prawdziwy bigos bezplanowo pomieszanych z sobą wiadomości. Gorzej, kiedy popularyzator sili się na głębię lub polot. Wtedy dodatek staje się zupełnie niestrawny. Coż bowiem począć z pracą n.p. *Przedwieście „Młodej Polski”*, która rozpoczyna się od słów: „Rozpoczynamy dzień drugi naszego Dekameronu, Szeherazady noc drugą. Co to jednak znaczy ciągłość pokoleń i ciągłość serdecznych więzi. Gdy od dziadów pradziadów mamy swe (!) serca pełne jęków i dźwięków królewskiego dzwonu Zygmunta” itd. w tym samym stylu. A przecież temat jest bardzo konkretny i wymaga ścisłego, jasnego ujęcia. Rozumiemy, że podobne prace mogą nie tylko obrzydzić „dodatek”, ale co więcej samą literaturę. Zagadnienie „takiego” popularyzowania jest zagadnieniem ważnym, jeśli uwzględnimy, ilu to naiwnych czytelników zniekształca sobie umysł i smak na dodatkach, ilu zaś inteligentniejszych, krytyczniejszych zaczyna odczuwać wstręt do literatury, posądzając ją — na podstawie lektury takich prac — o blagę. Przykład przytoczony z *I. K. C.* z dn. 12. X. b. r. Został on przypadkowo wybrany, bo nie tylko w *I. K. C.* takie brednie się drukuje, ale w wielu innych dziennikach.

„ODNOWA”. Stronictwo Ludowe, które dotychczas starało się wyłącznie o rozszerzenie swego wpływu na masy chłopskie, nie dbając o miejską inteligencję, zmieniło taktykę. Pismo *Odnova* ma być — o ile się można zorientować z dotychczasowych numerów — organem prasowym, przeznaczonym dla inteligencji. Fakt ten zasługuje na uwagę nie tylko ze względów czysto politycznych, ale także — co jest dla nas najważniejsze — kulturalnych. Stronictwo Ludowe, pogląd na świat i Polskę, reprezentowany przez nie, wchodzi w ten sposób w krąg zainteresowań inteligencji. Jak dotychczas pismo zajmuje się prawie wyłącznie popularyzowaniem programu partii. W sprawach kulturalnych — w ograniczonym znaczeniu tego słowa — pismo zabiera głos rzadko, a jeśli zabiera, to wypowiedzi jego są dość blade i — oderwane. Ponieważ te sprawy nas najwięcej interesują, poprzestajemy na razie na notatce o ukazaniu się pisma. Uważamy jednak, że dotychczasowa proporcja między artykułami politycznymi a kulturalnymi nie jest zbyt szczęśliwa. Rozumiemy, że w każdym ideowym piśmie politycznym popularyzowanie hasel jest ważne, sądzimy jednak z drugiej strony, że trwałą i istotną wartość nadają mu raczej prace „kulturalne”.  
W. BAK

## TO PRZESĄD,

że można dotrzeć do klienteli prowincjonalnej nie ogłaszając się w dziennikach lokalnych.

## PROWINCJA

posiada szereg wydawnictw, które łącząc wiadomości ogólne z lokalnymi — stają się nieodzowną lekturą dla mieszkańców prowincji.

Takim wydawnictwem jest

## „EXPRESS LUBELSKI I WOŁYŃSKI”

wielki, ilustrowany dziennik wychodzący w Lublinie od lat 14-tu.

NAJWYŻSZY NAKŁAD na terenie województw Lubelskiego i Wołyńskiego.

Blizsze informacje, egzemplarze okazowe, prospekty, kosztorysy ogłoszeń, wykazy i referencje dotychczasowych klientów, odwiedźmy akwizytorów — na każde żądanie.

Adres wydawnictwa: LUBLIN, Kościuszki 8, tel. 23-60.

Informacje w Warszawie przez telefon 9-28-82.

REDAKCJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 18 do 19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się. ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., 1/2-rocznie 9.50 zł., rocznie 18 zł.; zagranicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Blankiety rozrach. Nr. kartoteki 85. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szer. 1 spalty — 60 gr. za tekst.; 80 gr. w tekście. Zastrz. miejsca 25% drożej. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor: LEON PIWIŃSKI

Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASINSKI